



A. Chantron. „Konik polny“.

Narcyzowe troski.^{*)}



roku, kto ciebie widział w naszym kraju!... *Wczoraj* tak już daleko odeszło od dnia dzisiejszego, że przestajemy poznawać sami siebie.

„Piękna mara senna“ przysła, awiosna „obfita w zdarzenia, nadzieją brzemienna“ traci już w myśli gorętsze swe światła, gubi we mgłach promienne swe zorze, a tylko krwawi się w duszy wspomnieniami straszliwych ofiar... I oto dzieją się rzeczy po stokroć przedwczesne: co nie przestało jeszcze walić żywiołową falą rzeczywistości w mury Jutra, nęci już marzenie poetów. Po Tetmajerze, Micińskim, Niemojewskim, Daniłowskim, Żeromskim, Markowskiej, Grubińskim — do obrazów „chwili bieżącej“ zwróciła się jedna z najzdolniejszych młodych pisarek naszych, p. Rygier-Nalkowska. Swą nieukojoną tęsknotę do *stylu* i swe chłodne rozkochanie się we własnej sfinksowości zaniosła do tych, co oddają swe życie „niewidzialnemu słoncu“.

„Książę“ nie jest książką, która posiada żywot samodzielny. Kto treść jej, logikę psychologiczną i sposób traktowania głównej postaci chce zrozumieć właściwie, musi przeczytać pierwszy utwór p. Rygierowej p. t. „Kobiety“, ogłoszony przed dziesięciu miesiącami. W rozgwarze walk politycznych przeoczono piękne wady tej powieści. Było tam tyleż zajmującej spowiedzi, co hamowanych spokojnie pędów fantazji oraz wysiłku, aby, wielbiąc czary własne, czarować innych. Była tam odważna, chociaż niedojrzała, w ładnej prozie wyłożona, chociaż nieco gadatliwa historia kobiety, rozmiłowanej do szalu w swym rozumie nadzwyczajnym, a nadewszystko w swej urodzie. Pożera ją głód wrzeń, głód zmysłów, a nadewszystko głód wyobraźni, która napróżno zwalczyć pragnie ospałość temperamentu i pretensyjną lodowatość rozumu. Janina chciałaby człowieka, który ją kocha,

„zamknąć do ładnej klatki, by odeciągnąć go zupełnie od świata. Dawałaby mu dużo jeść, niepozwoila rozmawiać z ludźmi, ani czytać, by dla niej tylko zachował całą energię życiową. I w tej klatce odwiedzałaby go czasami“. Ale nie bójcie się „skandalu“: odwiedzałaby go po to jedynie, by mu opowiadać pięknie o swym rozumie, o swej urodzie, o swej zagadkowości. Po przez kształty cudze — Janina szuka wciąż kształtów własnych. Najpierw szuka ich w wyrozumowanej miłości; potem — w różnych gatunkach charakterów męskich i kobiecych; następnie — w nauce; to znów — w udanej zadumie o tem, że kobiety „uczciwe“ nie powinny się wyodrębniać od prostytutek, gdyż zubożają się „o cały czar demoniczności i występku“; wreszcie — w niewinnem, bo niczem nie popartem dążeniu, aby „abstrakcyjny typ kobiety, dokonawszy się, zagał, jak zagał oderwany typ mężczyzny“. W rezultacie całe poszukiwanie nie wzbogaca duszy Janiny nowymi pierwiastkami, nie pobudza jej do skupienia i syntezy; przeciwnie rozprasza ją w kokieterijnych uśmiechach. Po przeczytaniu „Kobiet“ dojdź musimy do wniosku, że Janina, odbywszy peregrynacje, zgola nieszkodliwe dla jej zdrowego organizmu, powróci do siebie i znowu wpatrywać się poczynnie w... lustro.

Otóż „Książę“ jest tym znamienym, odmalowanym niekiedy wybornie, a zawsze ciekawie, powrotem. P. Rygier-Nalkowska staje się w najnowszej powieści naszej mimowolną przedstawicielką zjawiska, którebym nazwał *narcyzyzmem literackim*.

Co to jest narcyzyzm? Przypomnijmy sobie niepokoje Narcyza, tak cudnie opowiedziane przez Owidyusza:

Była świeża krynica, pełna przeźroczystej wody, a nieznaną trzodą, co się pasły po górach. Zwierciadła jej nie maciły nigdy ani ptak, ani zwierzę, ani gałąź żadna. Raz znużony polowaniem Narcyz, szukał przy tej krynicy spoczynku, chłodu i napoju. I oto, gdy gasi jedno pragnienie, budzi się w nim drugie: kocha bezcielesny obraz, który ogląda w wodzie, sam się własną zachwyca urodą, sam jest celem swych pochwał i swego pragnienia. Wyciąga ku krynicy dłonie i zimnej

wodzie czece przesyła uściski. Próżno głód go odrywał, próżno sen go wołał; Narcyz był nie wzruszony: kłęcząc na trawie, przypatrywał się dnie całe obrazowi w wodzie, sam ku sobie żywym ogniem płonął. Z goryczą myśli o tem, że przedmiot jego miłości nawet go nie przeżyje. Wciąż się nad wodą pochyla, aż łzami zmąca raz zwierciadło wodne i całą postać zalewa. Przerażony, że obraz ucieka, drze szaty, wydaje westchnienia i bije się mocno w piersi. A potem, gdy Narcyz dojrzał w wodzie pierś krwawą, w straszliwej pograża się rozpacz: trawi go ogień ukryty, a z bielszej nad śnieg twarzy wszystkie róże znikły. Żalność prowadzi go do grobu, aż śmierć zamknęła zwrócone w twarz własną oczy. Ale i po śmierci jeszcze przegląda się Narcyz w Styksu nurtach nieprzebytych...

Historia Narcyza powtarza się częściej, niż przypuszczamy. Po całej Europie rozsiani są dziś pisarze, którzy swe narcyzowe opisują bole. We Francji narcyzyzm przybierał bardzo skomplikowane kształty u Barrèsa, de Gourmonta, pani Rachilde. W rezultacie każdy liryk jest do pewnego stopnia Narcyzem, albowiem o sobie wyłącznie mówi, chociaż wyraża uczucia, które odczuwają inni. Ale nie o taki narcyzyzm nam chodzi. Prawdziwy narcyzista ma świadomość swej treści wewnętrznej i — treść tę *wielbi*, podziwia. Uwadze publicznej narzuca się przez sposób, w jaki ten zachwyt wyraża. Narcyzyzm jest przeto formą samouwielbienia literackiego. Gatunek jego jest tem większy i ciekawszy, im treść uwielbianą jest głębsza i oryginalniejsza. W idealnym swym kształcie narcyzyzm jest zgola obiektywny: autor bada samego siebie i opisuje zjawiska swego ducha z lubością, jakby opisywał roślinę lub krajobraz. Własne życie stanowi dla Narcyza literackiego rodzaj tematu do epopei subiektywnej. Odgraniczyć artystę dość wyraźną linią od jego treści — oto zadanie narcyzysty. Zadanie — trudne, albowiem często wchodzi tu w grę egoizm i przeszkadza w doborze barw śmiałych i szczerzych. Narcyz ma skłonność do odnajdywania w sobie zagadek i do przeświadczenia, że nikt na świecie zagadek podobnych nie posiada. Ale zjawisko staje się ogromnie interesującym, gdy zagadkę taką naprawdę odnajdzie:

^{*)} Zofia Rygier-Nalkowska: „Książę“. Powieść. Warszawa. 1907. Nakład Gebethnera i Wolffa.

wtedy samouwielbienie podsuwa mu niekiedy wspaniałe obrazy, a stylowi jego nadaje moc i wyrazistość.

Talent p. Rygier-Nałkowskiej ma wiele podobieństwa z talentem Rachilde'y; brak mu jedynie *dojrzałości*, która cechuje wszystkie, najprzewrotniejsze nawet koncepcje autorki „l'Animale”.

Janina Dernowiczówna w „Kobietach” odbywa swą narcyzową wędrówkę tak, że gdy w końcu powieści usiłuje nas przekonać, iż w nauce znalazła ostoję dla swych trosk życiowych — mało jej wierzymy. Otóż niewiarę naszą potwierdza wymownie „Książka”. Janina nazywa się tu Alicya, ale jest tą samą wciąż postacią. Środowisko jej niewiele się zmieniło; występują nawet niektóre, te same, co i poprzednio postacie (Rosłowski, Obojańska). Alicya od swego ostatniego awataru, to jest od Janiny, nauczyła się jednej tylko „naukowej” tajemnicy, a mianowicie — jakie lustra więcej schlebiają, lepiej piękność i „wytwność” różne uwytatniają.

Niesłusznie autorka chce czytelnika zapewnić, iż w te piękności sama nie bardzo wierzy. Oto np. z nonszalancją całkiem stylową odpowiada mi w *ciągu powieści* na uwagę, gdzieindziej wyrażoną, że w „Kobietach” jest dużo „cichego a głębokiego samouwielbienia”. P. Rygier-Nałkowska utrzymuje, że pomyliłem się nieco, gdyż „samouwielbienie to jest bardzo hałaśliwe”. „W każdej — mówi — godzinie życia przeżywa mię tysiąc wątpliwości — a im więcej jest w nich pogardy dla mnie, tem głośniejszy i huczniejszy wyśpiewuję wtedy hymny na własną cześć. W ten sposób zwalczam w sobie rzecz najbardziej zasadniczą i głęboką, rzecz najciekawszą właśnie — moją trwogę, ostatnie echo trwogi, podejrzenie nieśmiałości: że wszystkie te skarby duchowe, którym palą kadzidła, są zbieranymi w cudzych domach śmieciami, przez przyzmat pychy oglądanymi jako złoto”.

Na szczęście jest to podejrzenie bardzo „nieśmiałe” i bardzo lekkie. Mówię „na szczęście”, bo przez to jedynie, iż Alicya nie wątpi o sobie ani na chwilę, ma tyle pretekstów do czarowania nas i swego otoczenia. Lubi marzyć „wytwnie” o swoim życiu, kocha „ogromnie swoje zalety, ale nieskończenie więcej swoje wady”. Myśl, że może nie jest najpiękniejszą, „wprost za-

truwa jej życie”. Najdroższe jej pragnienie polega na tem, by linia „przeprowadzona przez jej życie była równie wytwna, jak linia jej bioder”. Zapewnia uroczyście, że jest „poganką i wzgardzicielką różnicy między złem i dobrem”. Cnota najpiękniejszą, najcenniejszą wydaje się Alicyi wtedy, „gdy połączona jest z uświadomieniem jej głupoty, bezcelowości, bezpożyteczności”. Kocha siebie za to wszystko, co w niej jest „piękne, dziwne, kapryśne, bezsensowne, nęcące”, za to wszystko zwłaszcza, co w niej „zupełnie bezpożyteczne” i „co kiedyś tam, za ciasną krainą wszystkich horyzontów, bezmiernem bogactwem i fantastycznością piękna zwróci na siebie olśniony wzrok najpiękniejszego z bogów”. Wierzy, że popelnianie „zręcznych niezręczności stanowi w niej wdzięk zupełnie szczególny”. Szuka więc sposobów przypodobania się, mnoży je dowolnie. Gdy np. chce udać migrenę, „wymownie przesuwając rękę po czole, ani trochę nie rozpalonem, po to tylko, by pokazać, iż rękę ma równie piękną, jak królowa Anglii, okrutna Elżbieta”. Nade wszystko jest ambitna, chociaż nigdy nie znać tego po niej. „I głównie z tego względu nie należy do kobiet *wyzwolonych*”. Kilka razy w swem życiu widziała, jak to wygląda. „Dla kobiety ambitnej mniejszą ofiarą jest uledek mężczyźnie, niż dać mu poznać, że wolno mu o to się starać”. Alicya daleką jest zresztą od wszelkich złudzeń demonizmu. „Nie jestem — mówi — zła, skoro nie wierzę w zło”. Po za swoją rzekomą pięknoscią i pięknoscią swego życia „najbardziej kocha na ziemi czar nieprzeparty zwodnej gry i słodszy jeszcze czar zapomnienia nawet o grze — dla płomieni ciała”.

Nie przerażajmy się wobec tych „płomieni”. Alicye będą one o tyle zajmowały, o ile w nich twarz jej zyska na krasie. Jej naprzykład „miłość” dla Zienowicza jest jedynie objawem takiej „zvodnej gry” mózgowej. Zienowicz, także Narcyz, ale kabotyn, „indywidualista krańcowy, Grek w skórze Nietzschego” wpatruje się w jedno tylko lustro: takie, które pokazuje, iż Zienowicz ma oblicze „artysty”. Alicya więc bawi się z nim w dość ciekawy fechtunek miłosny, wybornymi listami potwierdzony, z których dwie rzeczy wychodzą jasno: najpierw i najsilniej, że p. Rygier-Nałkowska ma piękny talent; następnie,

że Alicya nie wie zgola, co to miłość. Ona pięknie rozprawia o tem uczuciu, a rozprawia po to, aby w końcu dojść do jakiegoś narcyzowego zuchwałstwa, takiego np. pokroju: „Niechaj sentymentalne mieszczyki spowiadają się dla otrzymania rozgrzeszenia. Moje rozgrzeszenie jest w tem, że grzeszę *ja*. I nie potrzeba mi pokuty. Grzech jest dla mnie sam w sobie pokutą największą”.

O tak, nie potrzeba tu pokuty. Pokutą będzie może... ironia czytelnika, gdy przeczyta takie zwierzenia, które Alicya czyni po pocałunku Zienowicza: „Piękne jest szczęście moje — i ma jasny uśmiech bóstw helleńskich na wargach... Zawsze, wszędzie, we wszystkim Alicya troszczy się jedynie o efekt pozy. Raz jest to młoda pantera, która wygrzewa się lubieżnie na słońcu i liże swą śliczną, lśniąca sierść, a potem wskakuje na drzewo, już to gwoli wyostrzenia sobie pazurów, już to gwoli sprawności ruchów całego ciała, już to dla przypodobania się samcowi. To znów jest to w atmosferze lodowatego racjonalizmu wychowana młoda poetka, która „w nic nie wierzy”, ideału żadnego niema i dla tego z czarującym sceptycyzmem o idealach rozprawia. Najczęściej jednak Alicya jest odsuniętą od „salonów”, bardzo inteligentną kokietką, rzuconą w sferę tej „radykalii”, gdzie „brudny kołnierzyk i zaniedbane maniery nie stanowią *zasady*, ale stają się łatwo „drugą naturą”. To też jej zbożne uniesienia nad własną wytwnością brać musimy *cum grano salis*, musimy je traktować, jako rezultat porównania Alicyi z jej otoczeniem, oddanem bezpamiętnie idei. Gdy się zachwycą swą suknią, to nie znaczy, żeby tam był w kroju jakiś wyższy gatunek cyklowintu, jakaś własna kompozycja prostoty; będzie to napewno suknia od bardzo drugorzędnego krawca, dość krzykliwa w tonie i narzucająca się uwadze pretensjonalnym oznajmieniem: ja jestem suknią wytwną.

Jakże się stało, że *taka* Alicya poszła do rewolucji? Po co ona tam idzie? Według wszelkiego prawdopodobieństwa przyszła tu góra do Mahometa, — przyszła rewolucja do Alicyi. Była jej potrzebna, jako jeszcze jedno zwierciadło. Śród rewolucjonistów, po za mimowolnem, pseudo-wytwnem poszukiwaniem tęgich bicepsów, przepaścistych

oczu i tym podobnych nadzwyczajności, Alicya szuka jeszcze wielkich charakterów, w nieustannym przeświadczeniu, że—nawet w tych charakterach dojrzy swój własny wizerunek. Takim wielkim charakterem jest działacz, nazywany konspiracyjnie „Księciem“. Ciągnie Alicję ku niemu najpierw sama legenda, jaka imię jego otacza. „Kocha“ go od pierwszej niemal chwili, gdy go poznała, chociaż wówczas jeszcze prowadziła „wytworny“ romans z „wytwornym“ Zienowiczem. Wreszcie, gdy raz, pod wpływem już propagandy Księcia, Alicya błąka się po nocy wśród domostw robotniczych i przypadkiem Księcia tam spotyka, „pomyslała bez żadnej przyczyny i zupełnie nie à propos: oto jest człowiek, z którym chciałabym mieć dziecko“. Jest to wyrażenie już krystalizacya uczucia, które Alicya niedawno, w rozmowie z Zienowiczem, usuwanym na drugi plan, określała tak: „mogę kochać tylko kogoś, kto mię porywa szlachetnością i wielkością, kto ma w sobie bohaterstwo i wspaniałość“. Naturalnie Książę musi mieć ten „styl“, jaki jest Alicji potrzebny: pomimo swych czynów gwałtownych, ma on różne „wytworne“ upodobania. Jest oratorem nieszczególnym, ale mastarannie wyszlifowane paznogie; posiada „jakąś pogodę *czysto fizyologiczną*“, wypływającą z temperamentu, która stanowi tajemnicę jego nadzwyczajnego wpływu na ludzi“ i—na Alicję. Książę nie wierzy w walkę. Idea rewolucyjna pociąga go „nie jako systemat naukowy, ale jako gigantyczny w swej utopijności rozumnej przejaw owej wiecznej, boskiej w nas *tesknoty do słońca niewidzialnego*, jako wyłom prometejski w murze z głazów piramidalnych, dzielących nas od tryumfu żyjących w nas potęg świętych, które w skromności magnatów zwiemy istniejącym gdzieś jeszcze po za duszą naszą—Bogiem“. Książę ogromnie kocha życie. Każdy przejaw życia jest dla niego „rozkoszą,—każda radość i smutek, tryumf i lęk“.

Zdaje się Alicji, że przez Księcia *pokochała* nowy świat, świat „nowej myśli i nowego piękna, w którym najwyższe idee—miłość i nienawiść—w jednym momencie stapiają się w gromową syntezę, z której rodzi się—Nowy Czyn“. Lubi też wiele mówić o tej swojej miłości, wielbi i czei tę miłość rzekomą przy



Helleu. Paryżanka.

każdej okazji. Dawniej kochała egzotyczne rośliny, kamienie rzadkie, stare rzeźby, naczynia drogocennej roboty, perspektywy kolumnowe z białego marmuru. Teraz zapewnia, iż otrząsa się „z tej martwej narkozy piękna, bo stanęła oko w oko z bohaterstwem“. Jest to oczywiście dalszy szereg jej narcyzowych złudzeń. Alicya i w Księciu kocha siebie taką, jaką się „tylko przez jego oczy ujrzeć mogła“. Czasem w tem uczuciu, na drobną, maleńką chwileczkę, urzeczywistnia się to, co Goethe określił w maksymie: niema innego środka obrony przeciwko wyższości drugiej istoty, jak mocna dla niej miłość. Ale w życiu Alicji nawet ten gatunek miłości nie jest długo możliwy. Swój stosu-

nek do Księcia określiła ona wybornie w takiej spowiedzi: „Rozumiałam dobrze, że musi być szczęśliwy, skoro jest sobą, skoro nigdy ze sobą nie potrzebuje się rozstawać. *Jakże ja sama byłabym szczęśliwa, gdybym zawsze mogła być z nim.*“

Pragnie tej nierozłączności, bo zawsze i wszędzie pragnie dla siebie... lustra. Siebie więc szuka w cierpieniach Księcia, siebie widzi w jego bohaterskim czynie rewolucyjnym, siebie wielbi w jego torturach więziennych, o sobie opowiada pełne stylowej draperyi słowa, gdy *myślą* przeżywa jego śmierć na szubienicy.

Rewolucyi niema więc w „Księciu“, pomimo widocznych ze strony autorki insynuacji, iż o nią najwięcej chodziło. P. Rygier-Nalkowska usiłowała tu zaspokoić swoją wielką *tesknotę stylu*—jedyną rzeczywistość nieuświadomioną we wszystkich jej narcyzowych troskach.

Alicya, dziecko swe, urodzone z pseudo-rewolucyjnej miłości z Księciem, ofiarowuje uroczyscie w zakończeniu książki „słońcu niewidzialnemu“ Jutra. W tym akcie mieści się zapewnienie, że Alicya przeglądać się będzie dalej w zrenicach... własnego dziecka. Opowie nam o tem niewątpliwie z niemniejszym talentem, czystością i wdziękiem języka, swobodą wyobraźni i inteligencją, jak w „Księciu“. Chciałbym tylko przypomnieć jej jedno piękne przykazanie, chroniące od zarzutu niewytworności i niestylowości: „Im szlachetniejszą mamy duszę, tem mniej winniśmy o tem mówić. Sztuka polega na tem, aby pokazać tę szlachetność bez nieustannego jej zapowiadania“...

Jan Lorentowicz.

Św. Teresa.

Kocham Cię, Chryste, całym płomieniem swej duszy,
Po nocach w snach widuję ręce Twe skrwawione,
Twój uśmiech dobrotliwy i z cieni koronę
I cały bezmiar mąk Twych i Twoich katuszy!

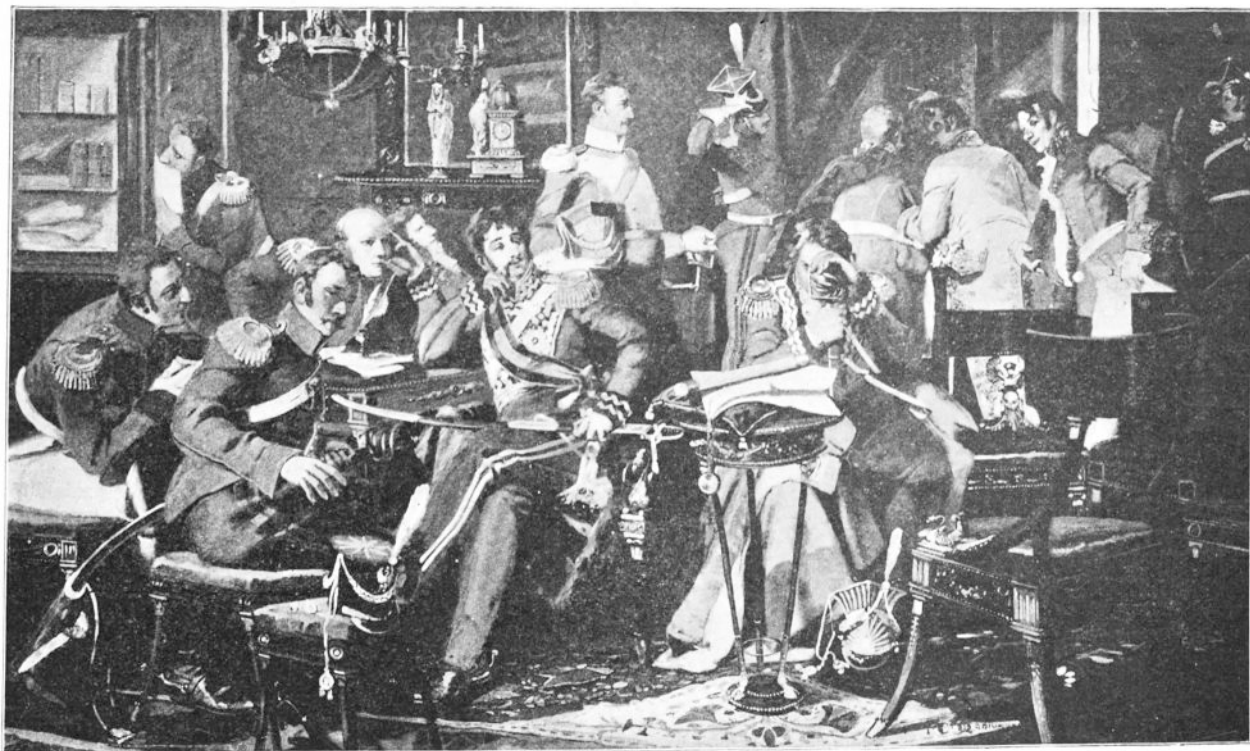
Z ciemnych ziemskich otchłani, jak z mogilnej głuszy,
Ku Tobie mkną mych myśli łabędzie stęsknione,
Chcę cierpieć lub umierać! Żądzą męki pełne!
Chcę kochać! Niechaj miłość serce moje skruszy!

Chcę cierpieć i umierać, Jedyny, dla Ciebie,
Tobie ponieść w ofierze też mych srebrne sznury
I ciała schłostanego zastygłe purpury,

Bylesz zato mi tylko dał w Twem jasnym niebie
Być pierwszą z pośród wszystkich dziewic nieskalanych,
Miłujących serdecznie i umiłowanych!

Zygmunt Różyczki.





J. Moniuszko. Wręczenie buławy marszałkowskiej ks. Józefowi Poniatowskiemu.

Moment Tylży (1807 r.) w romantyzmie polskim.

III.

Jeżeli ówczesna bezimienna poezja, właściwie rym, panujący, rozplamienający, a dobijający się do wrót literatury zewsząd: z ulicy, z celek sztubackich, z naiwnych desek teatralnych, z zapadłych kątów kraju—jeżeli to pieśniarstwo prostoduszne najczęściej może mówić do dzisiejszych pojęć o poetyce, jako zapal chwili i tym zapalem ma być mierzone,—to równocześnie obok tych zjawisk powstaje do życia element *prozy polskiej* naprawdę nowej, prozy o nowym tonie i o nowym nieznanym dotąd tempie. Proza owa, jak i piosenkarstwo ówczesne, powstaje, rzekłbyś, żywiołowo z masy zbiorowej. Od entuzjazmu chwili bierze moc i wartość, których najdoskonalszej nawet prozie Stanisławowskiej nie dostawało. Podziwieniasą godne listy legionistów pisane z biwaków do rodzin. Lapidarne zwroty zawierają w jednym zdaniu doskonałą treść życia i uczucia. Co prawda żołnierz wielkiej armii miał doskonały wzór stylu w języku samego Napoleona. Słynne rozkazy dzienne rzucały błyskawice mownych słów.

To też z rycerską brzmiał i ton odezw legionistów do narodu. W język oficjalny wkłada się obrazowość marsowa—i duma zwycięzców.

Oto na przykład pisze JP. Amilkar Kosiński, generał brygady wojsk

polskich, organizator siły zbrojnej narodowej departamentów Bydgoskiego i Kwidzyńskiego—do obywateli tychże departamentów:

„Przybywam, Rodacy, na czele uzbrojonych i zemstą palających waszych współbraci w te okolice, gdzie jeszcze błakają się marne szczątki monarchii Pruskiej.“

A jak naprawdę podniosła jest ta pamiętna rota przysięgi, jaką w r. 1806 i 1807 składał nowo zaciężny legionista:

„Ja tu przytomny, przed obliczem Boga zastępów, przed bóstwem powstającej ojczyzny mojej, przysięgam na tę buławę, którą niegdyś bohatera dłoń Czarnieckiego dźwigała, na ten miecz Sobieskiego, pod którym padał polski nieprzyjaciół, iż posłuszny do zgonu rozkazom Wielkiego Napoleona o swobodę i całość ojczyzny aż do przelania ostatniej kropli krwi mojej waleczyć będę.“

W ów pamiętny dzień 3 maja 1807 roku odbyło się w katedrze św. Jana uroczyste poświęcenie znaków legionistów. Biskup Albertrandy, celebrujący mszę pontyfikalną, po skończonym nabożeństwie ukląkł u stopni ołtarza i, jak zapewniają ówczesni, z ust jego popłynęła modlitwa—improwizacja:

„Wszechmocny, wieczny Boże, któryś jest rzeczy wszystkich błogo-

ślawieństwem—i tryumfujących mocą, wejrzyj łaskawie na pokorne prośby nasze—i te znaki, na użycie wojenne przygotowane, spuszczone z nieba błogosławieństwem poświęć, aby przeciwko nieprzyjacielskim narodom były dzielne i obroną Twoją zawsze zabezpieczone: aby targającym się na

naszą ojczyznę były straszne, a dla mających w Tobie ufność stały się niezawodną pomocą i niewątpliwym zwycięstwem. Ty albowiem jesteś Boże, który hardości niesprawiedliwie wojujących



Wojciech Bogusławski.

gromisz, a w Tobie ufających wszechmocną wspierasz pomocą.“

Aby ocenić wagę biblijnej a natchnionej prostoty tej w ustach księdza biskupa, należy pamiętać, że wydobyla się ona z tych samych ust, które na posiedzeniach towarzystwa przyjaciół nauk zasypywały słuchaczy monotonią długich i sztucznych okresów, że przytoczymy tylko:

„Nigdy on sławny—króla Pyrrusa do Rzymian posel—Cyneas tak na umyśle zmieszany, tak na sercu nie mógł być strwożony, jak my“ i t. d.

Jeżeli więc naraz z ust tego samego człowieka popłynęło takie

żywe uczucie, to już ten fakt może być miarą, jak nawet we wnętrza ludzi starych i klasycyzmem nasiąkłych, zapadała bohatera prostota chwili — i jak ona była wszechpochłaniająca.

Gdy mowa o tem pamiętnym nabożeństwie, nie sposób pominąć milczeniem dłuższej mowy księdza Woronicza, którą z ambony do młodych rycerzów ojczyzny wypowiedział:

Cytujemy tylko jej fragmenty.

„I wy którzyście z rozsypanych kości wspólnej matki naszej w oka mgnieniu w mścicieli jej urosli — i wy! którzyście jej

imię, w Europie wymazane, aż na piaski murzyńskie dla przechówku unieśli —

— już się spełniły wasze nadzieje!

— dziś!

— szukać wam słupów Chrobrego między Dnieprem i Salą, odkopywać porty i zatoki Euxynu, skąd niegdyś Jagiełło chlebem ukraińskim grody bizantyjskie zasiliał, przecierać gościniec wypraw Witołdowych, pytać o dawne obozy i stanowiska Batorego!...

A w dalszym ciągu kreśli ekstatyczny obraz Polski za sprawą Napoleona odrodzonej:

„Kraj niedawno ponury, niewolnictwa cechą shanbiony, z nadziei

i sposobu dźwignięcia się obdarty, świetnemi rotą polyska“ —

„Rycerze o pierwszeństwo chlubnej śmierci dobijają się...“ —

„Starce zgrzybiali na koń wsiadają“ —

„Młodzieńcy, przez nasterczzone dzidy i zapory przedarłszy się, pod zbawcze chorągwie lecą w zawody...“

„Wszystko wre, zakwita radością i pociechą oddycha.“

„Bóg wejrzał na lzy i lamenta tylu milionów ludów, nieokreślonej dumie i samowolności poświęconych, za blachy kruszec nędznie zaprzedałych.“

— Przygotował wiekami Bohatyrą, który jeden do dzieła Boże, po Bożemu wykonać *był przeznaczony*.“

Historyka literatury uderzyć musi w podkreślonych wyrazach końcowych mesyaniczny ton wiary w Napoleona, ten sam, który później w to wianizmie, w „Biesiadzie“, a jeszcze bardziej w prelekcjach Mickiewicza znajdzie swoje analityczne sformułowanie. Że w mowie Woronicza wyrazy te nie były nieświadomą grą słów, świadczy jeden z dalszych ustępów, w którym Polska zyskuje znane oświecenie Chrystusa narodów:

„Polska za Europę we krwi tonęła, a Europa za jej plecami bezpieczna swoje światło i korzyści doskonaliła. Opowiadajcie to wiekom i pokoleniom przyszłym nasterczone kośćmi mogiły naszego Podola i Ukrainy. Bądźcie do zgonu świata mównemi piramidami naszych znakomitych zasług dla całego rodu ludzkiego i razem okropnej niewdzięczności...“

A. Grzymała-Siedlecki.



Cesarz Wilhelm jako mecenas sztuki i artysta.

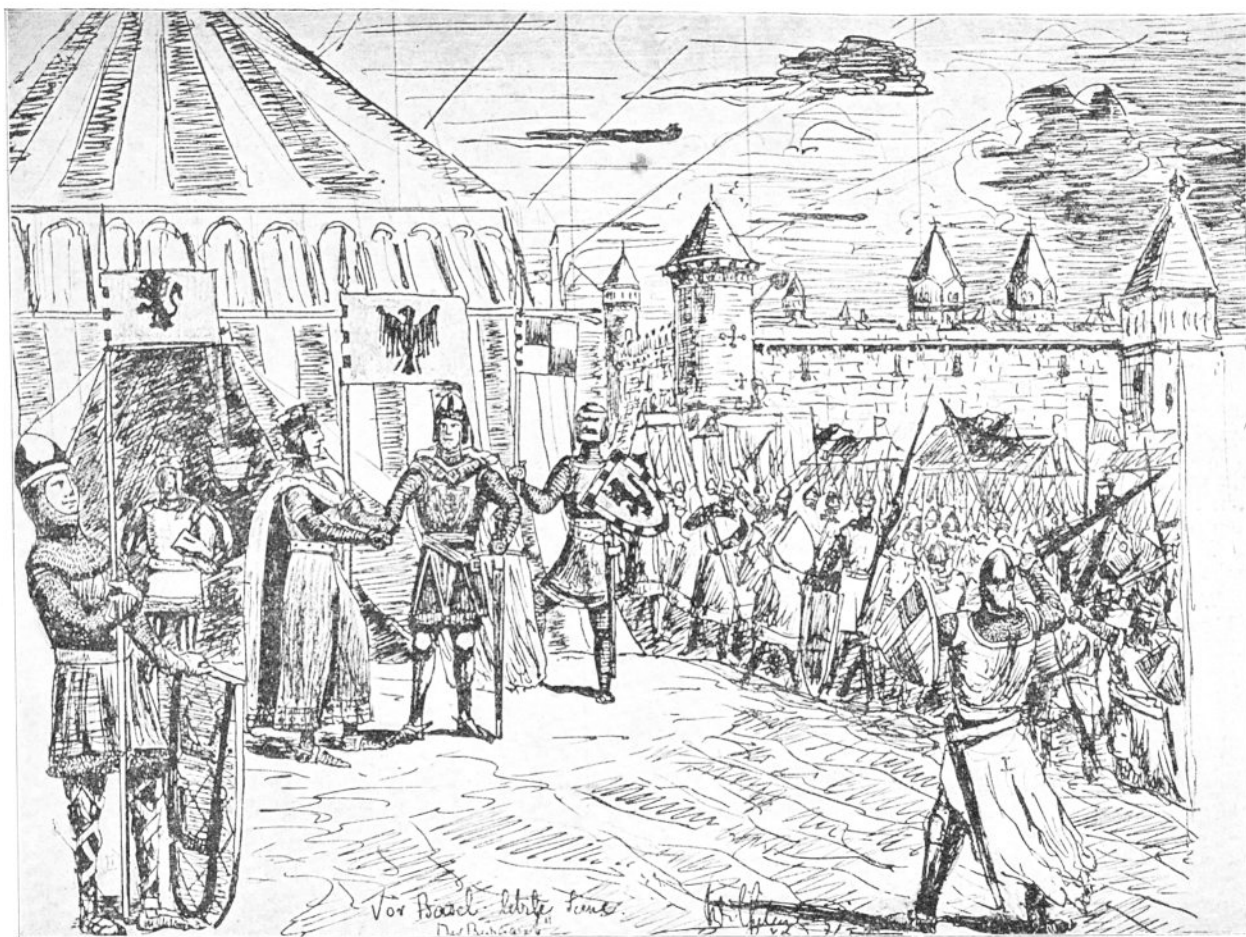
Nieraz opowiadano sobie, że cesarz Wilhelm, niby Hadryan nowoczesny, będąc w pracowni malarskiej lub rzeźbiarskiej, sam chwytł za ołówek lub pędzel i szkicuje obrazy lub pomniki, według których artyści wykonują potem dzieła swe. Inni znowu twierdzili, że szkice tego rodzaju, które czasem pojawiały się w pismach ilustrowanych, nie są własnoręczną pracą cesarza.

Właśnie pojawia się dzieło, które informuje publiczność dokładnie o stosunku cesarza do sztuki i po raz pierwszy ogłasza pięćdziesiąt własnoręcznych szkiców i rysunków jego. Wydawnictwo to — „Der Kaiser und die Kunst“ (Berlin, nakładem Alfreda Schalla) — jest oficjalnem. Trudno osądzić, dlaczego cesarz obecną własnie chwilę uważał za stosowną, by zaprezentować światu całokształt usiłowań swych jako mecenas i artysta. Dość, że, najwidoczniej z polecenia jego, Paweł Seidel, dyrektor zbiorów sztuki na zamkach cesarskich, zebrał z archiwów urzędów dworskich i ministerjów wszystkie dokumenta odnośne, dołączył szereg listów, w których artyści wypowiadają zdanie swe o cesarzu i wyposażył dzieło w znaczną ilość wspaniałych ilustracji. Do jakiego stopnia wydawnictwo to zachowuje charakter oficjalny, wynika z tego, że autor, mówiąc o cesarzu, używa zawsze wielkich liter. Ciekawą jest też okoliczność, że pismom nie nadesłano egzemplarzy do oceny; redakcyje musiały nabyć je po 25 marek.

Trzeba przyznać pracy p. Seidla, suchej i nudnej — en défaut d'autres qualités — tę jedną zaletę, że wyświetla szczegółowo wszystko, co cesarz



Szkice cesarza Wilhelma pomników rycerzy z Oranii przed pałacem berlińskim.



Scenariusz, narysowany przez cesarza Wilhelma, do „Burggrafa”. Scena końcowa. Rzec dzieje się przed bramami Bazylei.

działał dla poparcia sztuki, jakim był osobisty wpływ jego przy budowach monumentalnych, a nawet rolę jego jako—krytyka artystycznego.

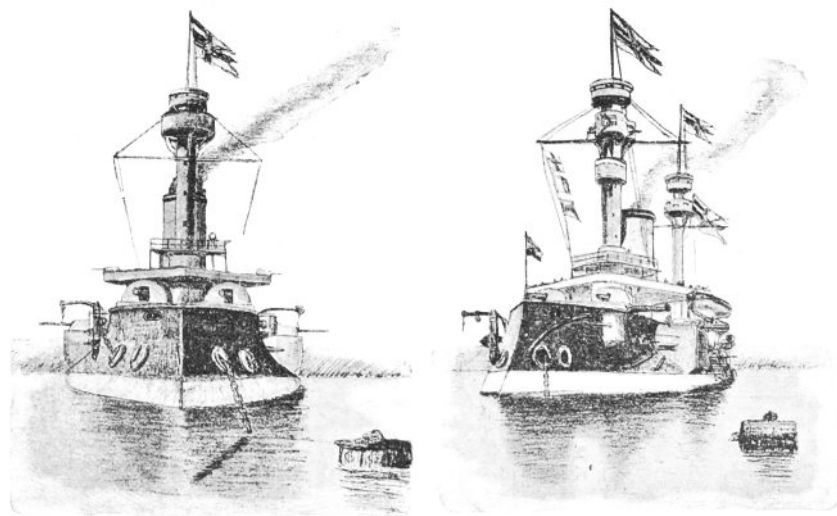
W tym kierunku materiał zebrany jest wcale zajmujący. Wiadomo, że cesarz Wilhelm nie przebiega w wyrazach, gdy mu się nowa budowla lub pomnik nie podobają. Najostrejszy skrytykował nowy gmach parlamentu. W przemowie do młodych artystów niemieckich, kształcących się w Rzymie, nazwał go: „Der Gipfel der Geschmacklosigkeit”. Słowo to i dziś jeszcze często przytaczają; zazwyczaj—o ironio losu—w zastosowaniu do „Siegesallee”, stworzonej przez samego cesarza.

Niejednokrotnie cesarz notuje uwagi swe na brzegach dzienników. Urzędnicy dworscy skrzętnie chowają te komentarze. W czasie, gdy prasa zajmowała się projektem pomnika dla Ryszarda Wagnera, jeden z krytyków „skrajnie postępowych” wymagał, by nie operowano zwykłymi środkami faktury pomnikowej. „A czemże właściwie?” dopisał cesarz. „Duch Wagnera—żądał dalej krytyk—powinien być przedstawiony przez rzeźbiarza tak całkowicie i uchwytne, by każdy widz uczuł porywający wpływ jego”. Cesarz zauważył: „Gadanie! Tego żaden rzeźbiarz zdziałać nie może dla widza, który nie znał Wagnera”.

Artyści, z którymi cesarz często dłużej o sztuce gawędził, twierdzą, że nie jest on tak zawziętym, jak ogólnie mniemają, przeciwnikiem nowego kierunku. Nienawidzi tylko kliki secesjonistów, którzy za pomocą szalonej reklamy wybijają się na stanowiska, nie odpowiadające ich uzdolnieniu. Wymaga rysunku poprawnego i sumiennej pracy. Poza tem jednak przedstawiciele nowego kierunku w sztuce bynajmniej systematycznie

nie ignoruje. W ostatnich czasach zamianował trzech zdecydowanych zwolenników modernizmu kierownikami pierwszorzędnych instytucji artystycznych.

O stosunku cesarza do Wojciecha Kossaka tak się wyraża oficjalna ta publikacja: „Szczególne zajęcie okazywał cesarz zawsze dla koni na obrazach przez się zamówionych. Lubiał przyglądać się obrazom takim podczas pracy w towarzystwie grun-



Szkice własnoręczne cesarza Wilhelma, nowych okrętów wojennych.

townych znawców koni. W obrazach Kossaka interesował go zamaszty sposób traktowania kawalerii. Że zaś cesarz, jak wiadomo, sam jest jeźdźcem zręcznym i wytrwałym, podobano mu się dać malować przez Kossaka w tym charakterze, raz na czele ułanów królewskich, drugi raz w uniformie leibhuzarów, w sytuacjach, które Kossak podczas manewrów obserwował. I inne obrazy zamówione przez cesarza u Kossaka, przedstawiają żywe ataki kawalerii.

W młodości cesarz myślał na serio o tem, by sam zostać malarzem. Nauczycielem jego był prof. Salzmann. Od r. 1884 udzielał lekcyi jemu i bratu jego ks. Henrykowi. Ks. Wilhelm okazywał sporo zręczności w wyrażaniu myśli swych farbami, tak że przystąpiono niebawem do zadań trudniejszych. Po krótkich lub dłuższych przerwach wracał zawsze z zapalem do sztalugi.

W późniejszych latach, zwłaszcza od kiedy wstąpił na tron, cesarz Wilhelm II zaniedbał malarstwo, poprzestając na szkicach ołówkiem lub piórem. Często króć, zamawiając pomnik, rzuca myśl jego w formach arcyprymitywnych. Szkice te są najpośpieszniejszymi i grzesząc brakiem manieri plastycznej. Przypominają raczej studia malarskie lub manekiny krawieckie. I kartony alegoryczne, które cesarz sam szkicował, lub dla których dostarczał pomysłów, nie odznaczają się oryginalnością.

Natomiast na dwóch innych polach własnoręczne prace cesarza zasługują w pewnej mierze na uwagę. Rysunki, przedstawiające statki, wykonane są starannie i zdradzają znajomość perspektywy. Najciekawsze zaś są szkice reżyserskie dla sztuk teatralnych. Widać w nich zamach i rutynę, nie zbyt częste u ukoronowanych dyktantów.

Berlin.

Stwosz.



Szkic własnoręczny cesarza Wilhelma, na pomnik admirała brandenburskiego, Raula.

Włodz. Perzyński.

31

XXXII.

Najsmutniejsze były te poranki, gdy Porecki, budząc się ze snu, patrzył w leżący przed nim dzień, jak w step pusty i bezbrzeżny. Taki poranek właśnie miał w parę dni po spotkaniu się z Turskim. Ani pieniędzy, ani papierosów nawet. Właściwie nie było po co wstawać. To też nie wstawał i leżał do południa w łóżku, wysilając mózg nad wynalezieniem jakiejś szczególniej „kombinacji“, która by go wybawiła z fatalnego położenia.

Nic jednak wymyśleć nie mógł prócz urągliwych szyderstw nad własnym losem. Ale i te szyderstwa już mu obrzydły. W końcu rozgoryczony podniósł się z łóżka i postanowił pisać. Od paru dni snuł mu się po głowie temat do noweli, w której miał zamiar „obmalować“ Tęzewskich. Pomysł zawdzięczał hrabinie Dymnickiej. Wiedział, że Tęzewskie, a zwłaszcza Iza, będą jego nowellę czytały i że złośliwym zadowoleniem wyobrażał sobie ich przerażenie. Im bardziej o tem myślał, tem bardziej nęcił go ten utwór. I obiecywał sobie popracować nad nim starannie, aby nie był to tylko paszkwil, lecz zarazem rzecz wysokiej wartości artystycznej. Miłe wrażenie psuła mu trochę myśl, że rodzina Tęzewskich posiada i męzkich przedstawicieli, których wrażliwość na drukowane słowo mogła się wypowiedzieć w niepożądaną formę. Dla tego też ociągał się z pisaniem. Lecz tego ranku ogarnęła go rozpaczliwa rezygnacja. Co będzie, to będzie, a on napisze... Owszem, niech się robi skandal!.. Rozumował tak, bo podługich namysłach nabrał przekonania, że ani Turski, ani Lipczyński, ani Zawirski, nie będą zaczepki z nim szukali, żeby właśnie nie powiększać skandalu. Oczywiście, gdyby nawet chcieli, to kobiety, subtelniejsze i dyplomatyczniejsze, powstrzymają ich. I będą miały rację. I tak większość czytelników nie zrozumie właściwego znaczenia, a gdyby którykolwiek z nich ujął się za Iza, sprawa stałaby się głośną i mówiłaby o niej cała Warszawa.

Dziwił się, że mu to proste rozumowanie wcześniej do głowy nie przyszło i pokrzepiony na duchu zasiadł do pisania. Głód

Sławny Człowiek.

POWIEŚĆ.

ko układały mu się słowa w barwne okresy i po pewnym czasie robota pochłonęła go zupełnie. Żywe wzory, które miał przed oczami, mknęły gdzieś, zapomniał, że pisze paszkwil. Koło trzeciej zapukał do niego Stanisławski. Przez drzwi się z nim rozmówił, przepraszając, iż go nie może przyjąć, gdyż jest strasznie zajęty. Podniecony gorączką twórczą, zapomniał o tem, iż od rana nic w ustach nie miał i cały dzień prawie przesiedział nad stolikiem. Jednym tchem napisał wszystko.

Tak był zmęczony, że kiedy wreszcie ostatnią kartkę rękopisu odrzucił, słabo mu się zrobiło. Myślał, że zemdleje. Postanowił zaraz pójść z rękopisem do redakcyi, mając nadzieję, że może dziś jeszcze uda mu się pieniądze otrzymać. Przed wyjściem położył się na chwilę, żeby wypocząć i zasnął głęboko. Kiedy się zbudził, w pokoju było zupełnie ciemno. Miał wrażenie, że jest późna noc. Głód dokuczał mu strasznie, ale już nie chciało mu się wychodzić na miasto. Leżał z oczami utkwionymi w sufit, a po głowie majaczyły mu się znów skowronkowskie wspomnienia, które odżyły w nim przy pisaniu. Ale mu już nie sprawiały bólu. Myślał o nich, jak o jakiejś przeczytanej książce. I zapadał powoli w słodkie, półsennie rozmarzenie. Rozebrał się i na dobre położył do łóżka, chcąc, żeby już jaknajprędzej jutro nadeszło.

Nagle zapukano do drzwi.

— Wacek, jesteś — usłyszał głos Stanisławskiego.

— Jestem, jestem... Chodź! — zawołał ucieszony. Drzwi były zamknięte na klucz i musiał się podnieść z łóżka, żeby je otworzyć. Galicyanin wsunął się do pokoju i stanął w progu jak wryty.

— Ta, co ty oszalałeś... Chory jesteś?

— Czemu?

— Cały dzień z domu nie wychodzisz, ludzi nie wpuszczasz... Czyś ty ten swój dramat tak kończył.

— Nie Stanisłasiu, coś innego, lepszego. Pocziwieś zrobił, żeś przylazł. Która to godzina?

— Dziesiąta.

Usłyszawszy, że jest tak wcześnie, Porecki uczuł w tej samej chwili wściekły głód.

— Nie masz ty pieniędzy przypadkiem?

— Mam.

— Masz?!

Zerwał się na równe nogi z łóżka i chwycił Stanisławskiego w objęcia, począł go ścisnąć i całować. Potem odepchnął go od siebie z taką siłą, że galicyjanin przewrócił się na łóżko i, zapaliwszy światło, począł się z nerwowym pośpiechem ubierać.

Stanisławski był przerażony jego gwałtownym humorem.

— Co ty wyrabiasz — narzekał. — Tak się w rękę uderzyłem, że napewno będę miał siniak.

— Głupstwo, byleś duży nie miał posiniaczonej. Służę ci — skłonił się, skończywszy się ubierać. — Zaprosisz mię na pierwsze śniadanie. — Wyrażenie to w języku przyjaciół miało specjalne znaczenie.

— Toś ty przez cały dzień nic nie jadł? — dziwił się galicyjanin.

— Nie jadł... Wyobraź sobie, że nawet papierosa w ustach nie miałem. Ten jest pierwszy. Aż mi się w głowie zakręciło, jakem się zaciągnął.

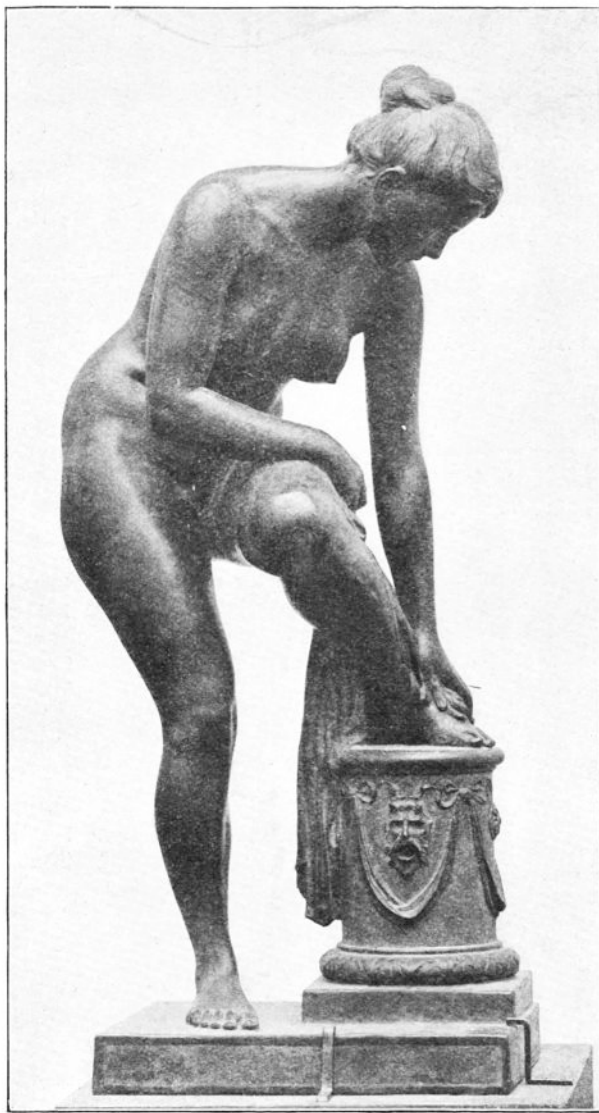
— Widzisz, jakiś ty głupi. Ja w południe miałem pieniądze, trzeba ci było mnie wpuścić.

— Stanisłasiu, ludzie tacy, jak ja, mogą zapomnieć o obiedzie. Utrwał to sobie w pamięci i chodź. Wołu bym zjadł teraz i całą Wisłę piwa wypił.

Wyszli. Poeta był w znakomitym humorze, przez całą drogę śmiał się i dowcipkował. Lepiej mu się dzień nie mógł złożyć. Napisał dobrą rzecz i jakby w nagrodę za to Opatrzność, która czuwa nad talentami, zesłała mu po całodziennym poście obfitą kolację. Przyjście Stanisławskiego uważał za bardzo piękny, prawdziwie przyjacielski czyn. Wszak każdy inny na miejscu galicyjanina napewno by go już drugi raz wieczorem nie szukał. Sam by się zabawił.

— Zaczynaj chłope. Jesteś. I nie wiem doprawdy, jak mnie za serce tem ująłeś, żeś przyszedł.

Gdy stanęli przed bufetem



Mikołaj Friedrich. Po kąpiel.

w jasno oświetlonej sali, nie mu już do szczęścia nie brakło. Oczarował go i pochłoniął barwny łan przekąsek i potraw, rozłożonych na talerzykach. Wypili po kieliszku wódki. Spojrzał pytająco na przyjaciela:

— Powtórzmy?

— Można — odparł poważnie Stanisławski.

— Coś przez dzień porabiał?

— Nic. Co na taki upał można robić. Jak usiądziesz, to ci się wstać nie chce.

— A ja pracowałem, ale dziś tom się naprawdę napracowałem — mówił poeta z uśmiechem dumy. Poczucie tego, że cały dzień potrafił, pomimo najgorszych warunków, nad biurkiem przesiedzieć, sprawiało mu radość większą po nad wszystko. Wskrzesza w nim znów wiara we własne siły twórcze. A ostatnimi czasy

tak mu się „nie pisało“, taki był zniechęcony, apatyczny, że zdawało się, iż przyszło już na niego zupełne wyczerpanie talentu i że nie już stworzyć nie potrafi. Obawa ta przejmowała go panicznym strachem. Jeśli straci zdolność do pisania, to cóż będzie robił. Ale dziś przekonał się, że jej nie stracił. Ha, ha... Ciekawa rzecz, czy wielu jest pisarzy na świecie, którzy, tak jak on, nie mając nic w ustach, potrafili by tworzyć. Myśląc o sobie, nie bardzo zwracał na to uwagę, co mówił Stanisławski i z roztargnieniem mu odpowiadał.

Nazajutrz wstał wcześniej i od razu zaniósł swój rękopis do redakcyi. Stanisławski, który nocował u niego, towarzyszył mu. Wprost z redakcyi poszli razem na śniadanie. Poeta był milczący.

— Cóżś tak humor stracił — dopytywał go się przyjaciel.

— Zmęczony trochę jestem. Wczoraj późno położyliśmy się przecież.

— Ja się wyspałem doskonale.

Porecki nie mówił prawdy. I on również miał czas się wyspać. Ale kiedy wychodził z redakcyi z pieniędzmi w kieszeni, uświadomił sobie, że teraz jego nowella musi już być wydrukowana. I owładnęło nim dziwnie niemiłe uczucie. Napróżno starał się otrząsnąć i rozruszać. — Świństwo, świństwo — szeptał mu jakiś głos w duszy. A przytem wszystkie te subtelne wczorajsze rozumowania, które doprowadziły go do niezbitego, logicznego wniosku, że nikt z mężczyzn nie ujmie się za honorem Skowronkowa, teraz wydaly mu się bardzo wątpliwymi. Bez wątpienia było by to najrozumniejsze, ale czyż oni są rozumni. I ta niepewność psuła mu humor.

DCN





Walka Ramy i Ravany.

(Z Ramayany).

Ramayana — wielka Iliada indyjska — mało jest dotąd znana w Europie. Jest to historia walki plemion białych i czarnych w Indiach w X wieku przed Chrystusem, a specjalnie podboju wyspy Ceylon. Wróg ludzi i bogów, Ravana, król Cejlonu, władca Rakaszów, złych duchów — porwał Sitę — żonę Ramy, króla Kosalów. Rama — to wezwanie boga Wisnu; zesłany jest on na ziemię dla zbawienia świata od potęg złych i ciemnych — Rakaszów; bogoczołwiec i bohater, który, sprzymierzyszy się z plemieniem Vanaszów — leśnych ludzi złotych — wyruszył przeciw Ravanie. Najwaleczniejszy wojownik Rakaszów, a nawet syn Ravany — zginął. Teraz występuje do walki sam Ravana przeciw Ramie. — Ponieważ walka Ramy i Ravany trwa wiekiście — przeto może być zawsze uważana za aktualną.

Więc przetrzebione Rakaszów ¹⁾ tysiące —
Wrócą do Lanki ²⁾ znużone — drżące.
I straszliwemu rzekną Ravanie ³⁾:
— Zginął Indradżit ⁴⁾ — twoje kochanie!
Na polu bitwy skrwawiony padł.
Zabił go Ramy zuchwały brat.

Ravana — z bólu wyjąc, powiada:
— Synu mój, synu! biada, o, biada!
Tyżeś to upadł, zamordowany,
Nikłą człowieczą dłonią Lakszmany?
Mnie tyś miał odwiedzić do krain Yamy⁵⁾ —
Ha, ja cię pomszczę na trupie Ramy!

Poczem Ravana siada na wóz.
Gniew go na pole bojeowe niósł.
Z tłumem geniuszy — z miasta wyruszy —
Jak lotne ptaki — pędzą rumaki —
A gdy usłyszysz ten turkot kół,
Każdy Vanara ⁶⁾ — strach wielki czuł.
Wróg idzie straszny, a chciwy krwi:
W dwudziestu gębach lśnią jego kły!

W ścisłe szeregi staną Vanary.
Ten ich na ziemię powali chmary. —
Jako rozwichrze pędzi ryczące:
Od jego grotów padły tysiące,
Iż się wydawał — jako Śmierć sama.

Widząc Ravane, natychmiast Rama —
Najpotężniejszy ujmie swój łuk.
— O szczęście! oto idzie mój wróg.
Wróg nieśmiertelnych stoi przedemną.
Dziś ja go w otchłań strącę podziemną!

Czeka. Aż naraz jak wichry dwa —
Lub jako lew się rzuca na lwa —
Tak na Demona nieskazitelny
Runął bohater. Bój wre śmiertelny.
Demon Ravana stał jako góra.
Choć Ikszwakida ⁷⁾ walił w Asura,
Choć płomiennymi ciskał weń grotty:
Nie dotknął Rama jego istoty.

Chmurą spiżowych rzucał pocisków
Na jego dziesięć potwornych pysków.
Grot każdy wraca do swego pana.

W Ravane — Rama, w Ramę — Ravana
Wzajem rzucają za strzałem strzał —
I niewzruszony każdy z nich stał.

Toż wzajem baczni na każdy ruch —
Ten bogo-człowiek i zwierzo-duch,
Bohaterowie niezwycczeni —
Stali wśród boju krwawych płomieni.

Wtem groźny Demon, by zbudzić lęk,
Grotów spiżowych wyrzuci pęk.
Groty, czerwoną zalane krwią,
W czoło się Ramie wbiły i tkwią.
Ów, tą ohydą strojny koroną —
Co go posoką broczy czerwoną,
Jakby spleciona była z lotosów —
Zdawał się nie czuć Ravany ciosów.

Więc cichym szeptem odmawia święcie —
Przeciw złym duchom straszne zaklęcie,
Co miało siłę pocisku Siwy ⁸⁾ —
I raz Biesowi zada straszliwy.
Królewski Demon pochwyci w lot —
W pierś mu lecący za grotem grot.
Te w pięciogłowe zmieniają się żmije —
Każda pod ziemią szybko się wije
I znika —

Wówczas ujmie Ravana
Włócznię, co, w piekle zaczarowana,
Kończy się pyskiem lwa i tygrysa:
Leci ku Ramie straszliwa spisa.

Rama weń dziryt rzuca płomienny —
I prysną czary, jako wid senny:
Włócznia piekielna w powietrzu znika
Tak się uchronił od przeciwnika.

Bies tedy chyżo — raz ci za razem —
Grotów dziesięciu bije żelazem,
Lecz choć grotami srodze pokłuty,
Rama stał twardo — i w króla mroków
Nieomylnie wypuszcza rzuty —
Strzały ogniste — pełne uroków.

Siedem strzał chwyci — i w bohatera
Puści — aż sztandar jego rozdiera.
Woźnicę — jednym ciosem obali,
A drugim ciosem wóz mu przepali.
Gniecie na miazgę Ravany łuk.
Na chwilę drżący cofa się wróg,
Aż chwyci włócznię — śmierci siostrzycę,
Co lśniła krwawiej nad błyskawicę.
Ta na powietrzu się zakolysze

I w piorunowej ognistej pysze
Skrzy się i leci...

Ten, to ów grotem jeszcze raz strzeli.
Wreszcie zmęczeni obaj spoczęli.

Tymczasem szatan dziesięciogłowy
Stos pali wielki — złoty — ogniowy —
I czarodziejstwem — sztuką wśród sztuk —
Wóz tworzy złoty — potężny łuk —
Dzirity — włócznie — pociski — strzały —
Na które zadrzysz, choćś zuchwały.
O ludzkiej twarzy krwawe rumaki —
Ciągnęły wóz ten na boju szlaki.

Tak siedząc w wozie — na bohatera
Straszny Ravana hardo naciera.
— Bój to nierówny! wołają bogi.
Toż niejednako walczą dwa wrogi.
Ravana — w wozie, a Rama — pieszo!

Tedy z pomocą Ramie pospieszą.

Indra ⁹⁾ mu wóz swój z błękitów dali —
Ześle z woźnicą swoim Matali. ¹⁰⁾
Jasna chorągiew nad nim powiewa.
Znak na niej imię boga opiewa.
Z eteru nieba wóz ten ma koła.
Z lapis-lazułu był jego ster.
Dzwonków tysiące miał dookoła,
Co brzmiały pieśnią błękitu sfer.

Matali ze czią przed Ramą stanie
I tak mu rzecze: Oto ci, panie,
Wóz ten zesłały boże wyroki,
A naprzód Indra tysiącooki
Łuk swój ci daje — szyszak ognisty,
Byś stanął w zwycięstw apoteozie:
Siądź na tym świętym bojowym wozie.
Ja ci woźnicą, Ramo, zostanę.
A ty jak piorun pędź na Ravane!

Wstępuje Rama na wóz zwycięski.
Puklerzem Indry na piersi męskiej
Wrogów niszczytel — stał osłonięty —
Promieniejący rycerz ów święty.

Powstrzymywane z początku konie
Puszcza Matali na śmierci blonie,
Gdzie krew czerwonym bługą potopem.
Pędzą najwyższym rwąc się galopem.

Zetrą się w boju oba rydwany —
Wóz króla Ramy i wóz Ravany.
Walą na siebie obaj koleśnice.
Aż ci zaświszcze gniewny duch mroków
Grotami — niby ławą obłoków —
Ramę z Matalim raniąc boleśnie.
Tysiącem grotów zdał sztandar boży.
Drugim — rumaki Indry zatrwoży.

Zadrzały bogi na widok kłeski.
Drży Vibhiszana ¹¹⁾, że ów zwyciężki
Ravana — władca potężnych czarów.
Bojażń przejmując pułki Vanarów.

Morze stanęło w ogniu płomieni.
Tuman się czarny nad głębią mieni.
Burzy się otchłań fali starganej.
W wyże tryskają czerwone piany,
Wezbrane ogniem toni płomiennej —
Siegają gwiazdy niebiosów dziennej.
Surya ¹²⁾ — o strasznej tarczy miedzianej,

Jakby do czarnej był przywiązany—
Groźnej komety—spogląda w grozie
Na bój Ravany z Ramą—na wozie!

— Cześć Dasagrivi! ¹³⁾ wyją straszliwie
Zebrane w piekiel progu Asury. ¹⁴⁾
— Zwycięstwo Ramie! niech wroga złamie!
Wołają bogi, patrzące z góry.

Wtem chwyci Demon dziesięciogłowy
Włóczy, co ostrz ma dyamentowy,
Samego Yamy broń przeraźliwą.
Więc Rama—łuku Indry cięciwą—
Groty ku niemu śle wywołańcze—
Lecz jako płomień, który szarańczy
W szalonym wicherze na szczyt pożera—
Tak wszystkie groty z rąk bohatera
Pochłania groźna ta rohatyna.

Rozje się Ikszwak na piekiel syna.

Tedy, żelazną pochwyci lancę,
Którą sam Indra wysoko ceni:
Mocno ją wzniesie wwyż nad pohańce,
Aż od jej blasku wkoło się mieni
Przestworze nieba całym obszarem,
Jakby objęte groźnym pożarem.

Aż, od jej ciosu zaczarowany,
Padł roztrzaskany—orez Ravany.
Chyżej od myśli—Rama z swej broni
Pocisk Ravany—i dwoje koni
Strasznego biesa—na ziemię wali.
Trzema strzałami piersi mu pali—
A potem w środek Demona czoła—
Trzy rohatyny wbija do koła.

Tak rzuca strzały—tak raz za razem
Już weń niezłomnem bije żelazem,
Już ci dzirzytem—już znowu głazem.

Choć wielkie męstwo w Demona duszy—
Lecz od nacisku Ramy się kruszy.
Szybkiem się krokiem do piekiel syna
Zbliżała groźna Śmierci godzina.
Więc, że się zbliżał Demona kres,
Wóz cofał zwolna woźnica—Bies.
Lecz, oślepiiony śmierci potęgą,
Tak do woźnicy Ravana rzecze:
— Jeśliś mi wierny—tedy przysięga
Wzywam cię twoją, idź, gdzie krew cieczel!

Znów na się runą te wozy dwa,
Jak byk na byka, jak lew na lwa.
Rozciekawione Bogi—Asury
Kołem na walkę patrzyli z góry.
— Zwyciężyć! taki jest Ramy ślub.
A myśl Ravany: Czas mi iść w grób!

Więc wóz przy wozie, konie przy koniach,
Piersi przy piersiach, dłonie przy dłoniach;
Nakoniec sztandar tuż przy sztandarze—
Walczyli teraz obaj mocarze.

Rama pochwyci strzałę węzową—
Strąca Biesowi głowę za głową.
A wnet mu inna rośnie na nowo.
Ledwie odrasta, znieście ją Rama,
Lecz zmartwychwstaje wiecznie ta sama.

Tak przez dni siedem i siedem nocy
Bohaterowie walczą wysocy.
Nikt nie ma chwili na odpoczynek.



St. Wyspiański. Niobidy.

Nieustający trwa pojedynek.
Lecz bezowocnie wróg wroga wali.

Nakoniec Ramie rzecze Matali:
— Weź strzałę Brahmy. ¹⁵⁾ Zginie od boga.
Lecz mu już, Ramo, nie ścinaj łbów,
Bo łeb mu każdy odrasta znów.
Nie tam do śmierci jego jest droga.

Rama usłucha bożego druha
I nieochybny pochwyci grot—
Płomieniejący—jak wąż syczący—
I naraz celny mu nada lot.
Brahma go niegdyś utworzył sam
I dał go Indrze—w niebiosach tam,
Gdy ten, wśród krwawych bojów zenitu,
Szedł na zdobycie trzech krain bytu.
Grot był tak szybki, jak wiatr lecący,
W sobie miał słońca żar gorejący;
Cały z żelaza—kręto się wiercił,
A w jego węzłach zataił Brahma—
Bogów Piorunu, Łęku i Śmierci.

Ten pocisk w Biesa wypuści Rama.

I padł raniony w serce Ravana.

Rzecz wykonawszy—strzała wnet sama—
Na skrzydłach wróci znów do kołczana.

Okrzyki zabrzmiały ze światów trzech:
Ravana wydał ostatni dech!
Złamany bogów i ludzi wróg!
Z dłoni mu wypadł piekielny łuk.
Zagaśł mu wzrok—i zamarł słuch—
Uleciał w mrok—Ravany duch!

Z wozu trup Biesa wypadł i leży—
Jak Vritra, ¹⁶⁾ gdy weń piorun uderzy—
Czarnych Rakszasów tłum wystraszony
Wnet się rozpięzcha na wszystkie strony.

Radosnym krzykiem zabrzmiały Vanary.
Płoną tryumfu złote sztandary.
Promieniał Rama—zwycięzca wrogów,
Jak Indra, kiedy hołdy odbiera od bogów.

A. Lange.

- 1) Raksz, rakszas—zły duch; podług niektórych pisarzy—są to czarne plemiona Indyi.
- 2) Stolica wyspy Cejlon—w dawnych czasach.
- 3) Ravana—król rakszasów, władca wyspy Cejlon, dziesięciogłowy demon.
- 4) Indradżit—syn Ravany, zabity w boju przez Łakszmanę, brata Ramy—Rakszasy nie są nieśmiertelne.
- 5) Yama—bóg śmierci.
- 6) Vanara—człowiek leśny—pod tą nazwą występują w Ramayanie złote—malajskie plemiona Indyi. Są to sprzymierzeńcy Ramy przeciw Rakszasom.
- 7) Ikszwakida—t. j. Rama, jako przedstawiciel i potomek rodu Ikszwaku.
- 8) Siva—bóg zniszczenia.
- 9) Indra—najwyższy z bogów upestaciowanych—bóg nieba i gromu, Jowisz indyjski.
- 10) Matali—woźnica boga Indry.
- 11) Vibhiszana—brat Ravany i razem jego wróg, stronnik Ramy.
- 12) Surya—Słońce.
- 13) Dasagriva—Dziesięciogłowy, przezwisko Ravany.
- 14) Asur t. j. niebóg, wróg boga, dyabeł.
- 15) Brahma—bóstwo najwyższe, oderwane, nie mające żadnej postaci zewnętrznej.
- 16) Vritra—Smok, którego zwyciężył Indra; Lewiatan podań Indyjskich.



Z Zakopanego.

Czem że nie miało być Zakopane?!

Letnią stolicą Rzeczypospolitej. Siedzibą pierwszego wolnego uniwersytetu na ziemiach polskich. Podwaliną stylu polskiego w architekturze i sztuce stosowanej. Bayreuthem teatru polskiego i t. d. i t. d.

W rezultacie... oh, w rezultacie, jest dziś po latach prób, eksperymentów i nadziei, letniskiem bez publiczności, bez wykładów, bez sztuki, bez teatru i bez charakteru, który nawet posiada Krynica, czy Rabka, bo te zdają sobie jako tako przynajmniej sprawę z tego, czem są i po co tam ludzie przyjeżdżają.

To zresztą nie jest już nowiną oddawna. Prasa nasza, która w pięknie poczuciu patriotyzmu chwali wszystko, co nasze i swojskie, częstokroć nawet na szkodę samej sprawy, objawia — rzecz dziwna — dość wielki krytycyzm wobec „perły Tatr“ i nie szczędzi pod jej adresem bolesnych uwag. To jednak na stan rzeczy wcale nie wpływa i nie zmienia faktu, który jest sekretem poliszytnela, że Zakopane upada.

Ale lepiej nadewszystko świadczą cyfry. Do Zakopanego przyjechało — według dokładnych wykazów — między 24 czerwca b. r., a 10-ym lipca około 700 ludzi, w co już się liczy przejeżdżnych kupców, turystów, służbę i dzieci. Liczba więc, jak na „sezon główny“, a choćby jego początek, bardzo niepokazna i w porównaniu do lat ubiegłych mniejsza. To też nie dziw, że w Zakopanem ruch bardzo nieznaczny, że po pensjonatach zamiast osób trzydziestu, siada do stołu cztery, tak, jak w późnej jesieni, lub w kwietniu, że w przeszłych Kuźnicach, w piękną nawet pogodę (która, jak dotychczas, jest rzadkim gościem), osób niewiele.

A towarzystwo? Najgłębsza galicyjska prowincya, która o istnieniu Zakopanego dowiedziała się dopiero przed paru miesiącami z powieści Zapolskiej (własność Kasyna), trochę urzędniczo-kupieckiej „inteligencji“ z Krakowa i Lwowa, minimalna doza Warszawy i Królestwa (*quantité négligeable*) i nieliczne rodziny z Księstwa, a właściwie z Poznania i Berlina.

A jednak Zakopane jest rzeczywiście perłą Tatr i to przedziwnej piękności, mimo, że nie jest już siedzibą pierwszego wolnego uniwersytetu na ziemiach polskich; mimo, że pamięć ludzka już zapomina o sztuce zakopiańskiej, która ongi szumnie zaczynała, a skończyła na ciupagach, czerpakach i kamienicach, budowanych obecnie w stylu rzeszowsko-snowickim; mimo, że w zakopiańskim przybytku muz—grają najaktualniejszą i najstosowniejszą farsę, p. t. „Kapitan z Köpenicku“.

Czem że naprawdę może być i jest Zakopane?!

Mogło być miejscem klimatycznym dla szukających odpoczynku, sanatorium dla chorych, środowiskiem turystyki tatrzańskiej, a w końcu esplanadą „zielonego karnawału“. A jest? Wszystkiem po trochu i niczem i stąd cały błąd (przypomina bigos przy Morskiem Oku). Brak w jego rozwoju dyrektywy i to się teraz mści i tak długo jeszcze mścić się będzie, aż Zakopane nie wejdzie na właściwą i konsekwentną drogę i nie stanie się tańszem i swobodniejszym dla pierwszej kategorii, higieniczniejszym i wygodniejszym dla drugiej, dla trzeciej—tej trzeba dopiero Tatry pokazać i zaanonsować, dla ostatniej wreszcie elegantszem o formach życia zewnętrznego. Za wzór niech posłużą Tyrol i Szwajcarya, gdzie każde miejsce przeznaczone jest dla specjalnej publiczności. I inaczej być nie może i u nas, mimo, że Tatry to nie Szwajcarya.

Jako przykład zaś „celowości“ rozwoju Zakopanego, niech posłuży jedna ulica, pryncypalna „*rue des Nations*“, na której spotyka się codziennie „*tout Zakopane*“, główną arterję ruchu—Krupówki. Przy tej to ulicy znajduje się np. pierwszorzędny, pod względem ilości łóżek, hotel z ogromną kawiarnianą werandą, hermetycznie zaskłoną (na zimę!), z precudnym widokiem na Giewont i Łąki—od strony kuchni i tylnych ubikacji ho-

telu. Nieco dalej wybudowano rok temu pocztę (o architekturze tej „stylowej“ pocztę raczej zamilceć należy), włączając wprost na wązki chodnik, a opodal buduje się znowu wielka kamienica (bez pretensyi stylu) i znowu na chodniku i tak już bardzo ciasnej i ciemnej w tem miejscu ulicy. A przecież we wszystkich nawet nowszych dzielnicach Berlina buduje się cztero- i więcej piętrowe domy z ogródkami od frontu, nie mówiąc już o ogrodach w oficynie, które tam są w każdym domu bez wyjątku. Czyżby w Zakopanem gruntu były droższe, niż w Berlinie? A gdyby nawet były droższe, to i tak nie racya zabudowywania Zakopanego na wzór Będzina, czy Gerlic. W tem to wreszcie Zakopanem z pominięciem powyżej werandy kawiarnianej można obserwować skrapianie ulicy (wodociągi już są) w dwie godziny po ulewnym deszczu — dla „czystości i porządku“.

Jaką konsekwencję wyrażają te wszystkie zarządzenia i urzędy — trudno dociec. Skutek ich w każdym razie gospodarze Zakopanego już odczuli, usprawiedliwiają jednak małą frekwencję „niepomysłnemi“ warunkami Zakopanego i... rewolucyą w Królestwie. Że jednak to nie jedyne powody, to wiadomo najlepiej tym, którzy dokładnie znają *pierwszorzędne* warunki Zakopanego i śledzą rozwój dwóch niejako wyodrębnionych zakładów zakopiańskich: Sanatorium d-ra Dłuskiego i Zakładu d-ra Chramca, w których rok rocznie roi się od gości.

Powody upadku Zakopanego (oczywiście chwilowego) są głębszej natury, niezależne od gorszego, czy lepszego sezonu i tkwią w polityce rabunkowej chwili, w braku energii i wszechstronnie rządzącym upadku.

A to się mści!

Zakopane.

S.



W dolinie kościeliskiej.

Roznosiciele mikrobów.

Ktoś w domu zachorował i rano posyła się po lekarza.

Symptomy choroby groźne nie są, wszyscy przypuszczają, że się skończy zapewne na lekkiej grypie, ale doktora wezwać trzeba i oczywiście takiego, który się cieszy zaufaniem. Otóż jasną jest rzeczą, że największym zaufaniem u ludzi cieszą się ci lekarze, którzy mają największą praktykę. Wprawdzie wówczas pacjent musi się uzbroić w cierpliwość i czekać dzień i dwa czasami nawet, aż przepracowany lekarz znajdzie dla niego chwilę czasu, tę zwłokę jednak równoważy w umyśle chorego i jego otoczenia pewność, że:

„Ten przynajmniej naprawdę wyleczy i nie wpędzi w nową chorobę“.

Wreszcie lekarz przybywa. Ma się rozumieć przyjeżdża bezpośrednio od chorego i po odbyciu wizyty znów jedzie do innego chorego. Tu tyfus, tam zapalenie płuc, gdzie indziej ospa, odra, szkarlatyna — słowem, całe symfonie chorób, poczynawszy od najpospolitszych, aż do najbardziej wyszukanych. Nad każdym łóżkiem roje najrozmaitszych mikrobów, które, ujrawszy w pokoju nowego człowieka, poczynają mu się przyglądać ciekawie, obsiadają wąsy, włosy, brodę, ręce, ubranie i wraz z nim przenoszą się następnie do innego mieszkania.

Otóż nasuwa się poważne pytanie: Czy lekarz, który odbywa kilkanaście wizyt dziennie i bez zachowania jakichkolwiek najmniejszych środków ostrożności, przechodzi od jednego chorego do drugiego — nie może, zamiast zdrowia, przynieść ze sobą innej, niejednokrotnie cięższej choroby?

Lekarz francuski, dr. J. Hericourt, który sprawie powyższej poświęcił specjalny artykuł w ruchliwej „Revue“, odpowiada na to pytanie twierdząco.

Wiadomo powszechnie, mówi, że pomiędzy teorią higieny, a stosowaniem jej w praktyce życiowej, istnieje prawie przepaść. To jest jednak najsmutniejsze, że lekarze, którzy w pierwszym rzędzie powinni się stosować do wskazań higieny, nie zwracają prawie wcale na nią uwagi. Jedno z dwojga więc: albo nie liczą się poważnie ze zdrowiem swoich pacjentów, albo wszystko, co nauka mówi o zarazkach chorobotwórczych, uważają za cześć, książkową gadaninę.

I nazywa ich wprost: komiwożerami chorób.

Wyjątek od tej smutnej reguły stanowią chirurdzy i akuszerzy. Ci muszą pamiętać, przed przystąpieniem do operacji, o wskazaniach higieny, gdyż gdyby który zapomniał o idealnej czystości przyrządów, skutki zarażenia wystąpiłyby natychmiast po operacji i winowajca byłby odrazu wskazany. Ale lekarze chorób wewnętrznych kontroli tej nad sobą nie posiadają. Zarażenie, które oni ze sobą przynieść mogą, nie występuje odrazu. Objawia się po paru dniach dopiero — pięciu, ośmiu, dziesięciu, a wówczas niepodobieństwem już jest dowieść lekarzowi winy, wogóle zresztą niepodobna mu jej dowieść, bo ustalenie faktu: skąd zarazki przybyły — usuwa się z pod kontroli.

Wyobrażam sobie nieszczęśliwą minę człowieka, który, oczekując swojej kolei w poczekalni u lekarza wziął, dla zabicia czasu, niniejszy numer „Świata“ do ręki.

— Cóż robić? Nie leczyć się wcale? Umrzeć na zapalenie płuc, żeby nie dostać tyfusu?

Dr. J. Hericourt przytacza cały szereg rad, dążących do naprawienia złego. Przedewszystkiem więc, chce pozbawić lekarzy tego, co według postępowych kelnerów stanowi jedyną godności ludzkiej oznakę, t. j. zarostu. Zaleca im, aby możliwie jaknajkrócej strzygli włosy na głowie, a twarze golili. Z zastrzeżeniem zgadza się na wąsy, które łatwo jest dezynfekować (tu się nasuwa sceptyczna uwaga: czy dr. Hericourt nie nosi sam wąsów?), następnie radzi, aby przed wejściem do pokoju chorego zmieniali ubranie, przywdziewając specjalne płócienné bluzy, łatwo dające się prać i któreby już pozostawały w mieszkaniu pacjenta. Wreszcie, po odbyciu wizyty, zaleca umyć gruntownie twarz i ręce.

To na mieście; a w domu — zasadniczo zmienić dzisiejszy styl urządzania poczekalni lekarskich, które zazwyczaj mają wygląd salonów i są zastawione sprzętami i drobiazgami, sprzyjającymi gromadzeniu się mikrobów. Zastąpić estetykę hygieną, bibeloty spluwaczkami, obicia i dywany lakierem, aby przeciętny mikrob, przyniesiony do takiego pokoju, poznał odrazu, że się w nim nie pożywi.

W tym celu doradza też lekarzom, nie urządzać gabinetów leczniczych przy prywatnych mieszkaniach, lecz wynajmować na nie specjalne pomieszczenia. Zwyczaj ten oddawna już praktykują lekarze amerykańscy.

Czy rady dr. Hericourta przyjmą się wśród ogółu lekarzy, przyszłość

pokaże... Bądź co bądź stanowią one, zdaje się, materiał, nad którym warto się poważnie zastanowić. To, co francuski lekarz sformułował i ogłosił, istniało już oddawna, jako nieśmiały podejrzenia i obawy w umysłach laików. Teraz obawom tym i podejrzeniom daje sankcję głos specjalisty.

Prawdopodobnie wielu z kolegów dr. Hericourta we wszystkich krajach Europy przyjmie wywody jego lekceważącym uśmiechem i wzruszeniem ramion.

— Jeśli mam dwadzieścia pięć wizyt dziennie, trudno, żebym się po każdej przebierał i dezynfekował... Wówczas na odwiedzenie dziesięciu pacjentów nie starczy mi czasu...

To bardzo prawdopodobne, ale „Res sancta aegrotus“...

Proponowana przez dr. Hericourta reforma nie jest niemożliwą do przeprowadzenia. Trudnym jest tylko początek — jak zawsze.

r. c.



Nasze pomniki.



Pomnik Kościuszki w Samborze (Galicya), dłuta p. Tadeusza Błotnickiego odsłonięty w roku bieżącym.

Moški, Joski i Srule.

(Wrażenia z kolonii letniej w Daniłowie).

Pragnę wpleść cichą nutę rzewnej melodyi w opętą wicheru zmagających się namiętności. Melodyę tę zgłuszy wichura.

Wpiąć pragnę naiwną gałązkę łagodnie uśmiechniętej niezabudki w ponury obraz walki, gdzie słuszość błada krwią broczy. Wiem, że gałązka zwiędnie niedostrzeżona.

W obliczu brutalnej rzeczywistości swój sen błękitny opowiedzieć pragnę, zanim mi go dzień jutrzejszy zwieje.

*
**

Kilka morgów skromnego lasu, a w nim parterowy budynek: dwa skrzydła, połączone werendą. W niewielkiej odległości od lasu, rzeczulka ani zbyt głęboka, ani malownicza. Zato dużo pol i łąk w okolo i w górze bardzo dużo nieba. — Tu co lato, cztery razy po sto pięćdziesiąt dzieci — śni dziwny sen przez ciąg czterech tygodni.

Zaledwie kilka dni upłynęło, gdy na dworcu kolei wywoływałem z kajetu obce nazwiska i ustawiałem długim sznurem do wagonu. Ustawiałem parami nazwiska, a nie dzieci: toć nie jeszcze o nich nie wiedziałem prócz tego, co głosił kajet: Altman Chaskiel z ulicy Smoczej; Rotkel Moszek; Płocki Ojzer — lat jedenaście. — Nowolipki 51. — Z gromady oczekującego hulaśliwego i bezładnego tłumu co raz to wynurza się inna, obca i obojętna postać i staje na wskazanym miejscu; jeden w chałacie, drugi w połatanej bluzie i czapce z naderwanym daszkiem, trzeci odświętnie ubrany.

W snach wypadki następują po sobie szybko i bez logicznego związku, w snach często dzieją się cuda, które nas jednak nie dziwią.

Po dwugodzinnej podróży kolejną już zarysowują się niki kontury twojej grupy, martwe nazwiska nabierają życia. — Oto ten chłopiec o kuli został postrzelony na ulicy, w szpitalu odjęto mu nogę, a teraz klei pu-

delka i zarabia pół rubla na tydzień; ten znów przykuł uwagę miłą a smutną twarzą: ojciec dzierżawił sady, zaziębł się, długo kasłał i umarł. — matka handluje włoszczyzną za Żelazną Bramą; trzeci podał ci opuszczony ołówek, powiedział: „dziękuję“, — odpowiedział: „nie ma za co“, — więc nie podwórko go wychowywało, — zaprawdę nie podwórko: ojciec był bogaty, stracił cały majątek, bo chciał mieć więcej, niż posiadał, teraz jest rządcą (za pokój bez kuchni) w domu, którego był właścicielem.

Ale to paru, kilku zaledwie, i to najdawniejszych do poznania; a musisz znać wszystkich.

W godzinę po przyjeździe na kolonię stoisz w kąpielowym pokoju z zakasanymi rękawami koszuli i z mydłem w garści: jest to moment, który decyduje o czystości całego sezonu; po wymyciu, dzieci kładą kolonijną bieliznę i ubrania, a własne odzież idzie do pakamery pod klucz na cztery tygodnie.

Dzwonek. Znów zasiadają do stołów na werendzie, ale już inni; to już nie są dzieci z różnych ulic żydowskiego ghetta, różnego poziomu nędzy czy niedostatku, a zda się jedna życzliwa rodzina, rozbawiona

Wymarsz dziatwy na spacer.



Na łące. Zabawa wre...

i uśmiechnięta, że oto po wielu tygodniach zebrała się przy wspólnym stole, by skromną wieczorą uczcić świąteczny dzień słońca.

Czuj duch, panie dozorczo, — nie daj się złudzić pozorom. Brzydkie chałaty zmieniłeś na białe bluzy, daleś płócienne mile dla oka czapki kolonijne, zmyłeś brud z głów i uszów — to zaledwie wstęp do pracy. Widzisz wesołą gromadkę rozochoconych chłopaków; gdy jednak spojrzysz uważnie, dostrzeżesz łąco, że tylko większość ma uśmiech na twarzy i w oczach, a nie wszyscy. Są tacy, którzy brwi marszczą i ściągają usta w niezrozumiały dla ciebie chmurny grymas, są którzy niespokojnie się rozglądają jak — gdyby pochwyceni w zasadzkę, są wreszcie twarze bez życia i oczy bez blasku. Wśród tych trzydziestu kilku dzieci musi być kilkoro uśpionych, zahakanych, zmartwiałych w nędzy, — musi być kilkoro złośliwych, niesfornych, a społecznych, — są wreszcie tylko bardzo zaniedbane a cudownie zdolne do przyjmowania wszystkiego, bo dobre i ładne. Tu może być jeden wreszcie z niebezpiecznym nałogiem, nurtującą wewnątrz a przyzajoną histerją, zwyrodnieniem; jak łatwo go przeoczyć, nie dostrzedz.

Czuj duch, panie dozorczo, z drobnych ledwo dostrzegalnych rysów musisz ułożyć sobie obraz duchowy każdego ze swych wychowanków; praca zmusna, a ciekawa i ważna; w pracy tej oni ci nie dopomogą. Z mrocznych chederów, nieszczerých szkół miejskich wynieśli nieufność i nieżyczliwość dla „Lehrera“, którego należy podejść, oszukać, okłamać, uspić jego czujność lub też wkraść w łaski dla zyskania specjalnych praw i przywilejów; z ciemnych korytarzy brudnych domów wynieśli niechęć dla porządku, ładu, komfortu, którym będzie używanie widelców do mięsa, chustek do nosa; wreszcie z otoczenia wysłali niewiarę w możliwość sympatii, współczucia ze strony tych, którzy mówią po polsku, jadają bez czapki i piszą w sobotę.

W ciągu pierwszych dni kilku musisz spełnić dwa zadania równej wagi: pierwsze — to ich poznać, drugie — być przez nich poznanym. Gdy się to stanie, jesteś panem sezonu: zwyciężyłeś; czeka cię świetna nagroda za zwycięstwo.

Oto ci wszyscy, którzy tworzą wartość dodatnią grupy, łączą się z tobą, łączą swe wysiłki z twymi i pracują dla dobra ogółu. Ty sam, zajęty gospodarskimi czynnościami, nadzorem i dozorem, nie zdołałbyś sam zrobić i dziesiątej części tego co zrobisz wraz z nimi. A trzeba, aby nieśmiały



W skwarny dzień kąpiel w rzece stanowi prawdziwą rozkosz dla dzieci.

i senny ośmielił się i ożywił, ufny w swą wartość nauczył surowiej się cenić, zły nauczył pobłażliwości, natrętny zrozumiał równe prawa wszystkich chłopców czy to do piłki, czy przewodniczenia w zabawie, uległy nauczył bronić słusznych praw swych—i tak każdy powinien otrzymać coś, coby im pozostało na zawsze.

— Spać!.. Grupa A spać!.. Grupa B, C, D! — każdy z czterech dozorców prowadzi swą grupę na salę.

Mycie nóg wieczorne—i cisza. Zdwasz czujność. Teraz już nie wolno ani śmiać się, ani rozmawiać, ani uderzać krzemieniem o krzemień, aby iskry padały. A że nie wolno, więc mimo znużenia, chętnie będą hałasowali; nie możesz ani na chwilę opuścić sypialni... I zasypiają... Przez otwarte okna płynie żywiczna woń lasu i jego szept łagodny. Chór miarowych oddechów spleta się z cichą modlitwą wieczorną natury w dziwną pieśń. Pieśń głosi, że wczoraj dzieci te oddychały z duchem Krochmalnych lilii i potu cuchnących betów, że teraz ich płuć zdumione piją cudną kryjącą rzeźwość wsi, pieśń dziwy nuci o dniu jutrzejszym wyzwolonej i uskrzydłonej ludzkości. I wierzysz:

W snach wypadki następują szybko i beładnie.

Dziw: biegna na wyścigi do rzeki, choć chłodny wiatr przewiewa, a woda zimna.

Dziw: z kwiatów polnych układają wiązanki, a każda wiązanka ma swój własny wdzięk.

Dziw: wśród łanów zboża idzie gromadka rozśpiewana, umajona zieleńią, w złocie serdecznego słońca. Rozbiega się na łące, tworząc coraz to nowe żywe obrazy, jakgdyby pozując malarzowi. I to są wzgardzone dzieci żydowskich zaułków, to są

brudnych podwórz niesforne Moški, Joski i Srule?



Wybudujemy fortecę...

Dziw: pozrzucali bluzy, chwycili za łopaty i kopią fortecę dla przyszłej wojny. Policzki się rumienia, pot spływa z czoła.—Piętnastu łopat za mało, bo wszyscy rwą się do pracy.

Dziw: słońce stacza się na zachodzie, a oni królewski obraz natury święcą cichem skupieniem.

Więc nie boją się wody, więc jest w nich poczucie piękna, więc znajdują rozrywkę w pracy fizycznej?.

Wczoraj cicho było na sali wieczorem, bo pilnowałem, surowy dozorca,—dziś cicho bo Geszel Grozowski gra na skrzypcach, a potem Friedenson Szlama śpiewa, gdy wszyscy już leżą w łóżkach. Dziś nie jestem już dozorcą, a słucham wraz z nimi.—Znów trzy dni mija, i mamy już kwintet: Rozenewajg—sopran, trzy alty i baryton. Koncertów na-

szych przychodzą słuchać: pani gospodyni, służba, stróż—Józef i stary Abram—pachciarz z czworaków dworskich.

Pzed trzema dniami dozorca i dzieci—to dwa wrogie obozy: one chcą, on zabrania,—on żąda, one protestują; one oskarżają się wzajemnie, on ma sądzić i karać.

— On woła na mnie: kulas, ślepy, — rudy pies. On zabrał mi kij,—pchnął,—wylał mleko,—zamienił łyżkę,—przeklina,—sypie piasek,—nie daje grać.

I dalej: „on rzucił kamieniami w psa, powiedział na pana brzydkie słowo“.

Pierwsze głosowanie: wybierają trzech sędziów; wybór niezbyt fortunny—za tydzień nowe głosowanie. Gdybym sam mianował sędziów, wybrałbym tych trzech, których oni drogą głosowania wybrali w trzecim tygodniu; wybrali trzech najmądrzejszych i najlepszych—i pytam, jak to się stało?

Spraw było czterdzieści trzy w ciągu sezonu; ja oskarżałem w dziewiętnastu wypadkach: trzech chłopców o wydalenie się samowolne poza kolonię, trzech o hałas na sali wieczorem, pięciu o obrzucenie żyda — waryata piaskiem i szyszkami, jednego o wybiecie szyby, czterech o picie wody brudnej, jednego o fałszywe świadectwo, jednego o zaniedbanie dyżuru, jednego o zrzucenie kwiatów ze stołu.—Z dwudziestu czterech spraw, wniesionych przez dzieci, szesnaście zakończyło się zgodą.—Z wyroku sądu naszego pięciu chłopców odsadywało kozę w ciągu pięciu minut, dwóch w ciągu dziesięciu i dwóch w ciągu piętnastu minut.—W jednym wypadku apelowałem, bo ustosunkowany jego-



Mały poeta czyta starszemu koledze swe wiersze.

mość uderzył chłopca niewinnie i został uniewinniony; sąd apelacyjny składał się z pięciu sędziów, po jednym z każdej grupy.—Czterdzieści trzy procesy i tylko dziewięciu skazanych.—O, dzieci, jak wy umiecie przebaczać, jak wy umiecie ucziwie, bezinteresownie i z zapałem pełnić swą służbę.

Przed każdym jedzeniem biegną trzej dyżurni po miski z wodą do rąk i dwaj po doniczki z kwiatami do stołów. Jeszcze nie zdążyłeś dolać mleka do kubków, a już dyżurny krawiec upomina się o igłę, aby przyszywać guziki, które się poobrywały dnia poprzedniego. — Zasłabł chłopiec i leży w łóżku — już masz dziesięciu, którzy chcą go doglądać. — A podawanie do stołu—to najwyższy honor i nagroda.

Z luźnej gromady przetopili się w społeczeństwie, które rozumie potrzebę współpracy, wzajemnych ustępstw, współdziałania i zdrowej opinii. Biada temu, któryby chciał się wysunąć ponad wartość swoją; przy pierwszym głosowaniu na sędziów pół grupy stawia swe kandydatury, przy drugim ci tylko, którzy mają szanse zwycięstwa.

Zabawa w straż ogniową — to ich własny pomysł, wiązanie kasków strażackich z chustek do nosa to ich wynalazek. Sami zrobili szosę z patyków, sami mianowali inżynierów, dróżników; a lokomotywą kolejki podjazdowej dlatego był Cudek Gewisgold, że najlepiej świślał i dmuchał.—Dopiero później, gdy już wszystko było gotowe, pan Mieczysław zrobił wielki piec z kamieni, więc był prawdziwy ogień, drabina, trąbki, flagi i prawdziwa woda z irygatora.

Teraz dopiero czas na całodniową wycieczkę do Orłowskiego lasu na jagody, na wielki trzydniowy konkurs warcabowy, żywe obrazy, wyścigi, koncert i wielką sensację sezonu: wojnę.

A więc wojna. Kulawy Wajnrauch obejmuje ambulans wojenny i lotny oddział sanitariuszów; rannym jest każdy, ktoby zaczął płakać. Lekarzem naczelnym jest garbaty profesor kryształ.—Osmy fort broni generał Altman ze swą dywizją, cztery boczne fortey bronią dywizje generałów: Karasia, Nejmana, Lwa i Zamezykowskiego. — Najważniejszy fort pierwszy i drugi, bo one osłaniają fortecę, bo na nich są sztandary. Pułkownik Flekier ze swoim pułkiem zajmuje prawe skrzydło fortu, pułkownik Rubinsztajn lewe skrzydło, środek broni pułkownik Pergericht. Wodzem naczelnym fortu generał Korczak. Na drugim forcie sztandar trzyma generał Presman, na fortecy—generał Lis.

Napad prowadzi dozorca grupy D na czele czterech walecznych pułków.

Po dwugodzinnej bohaterskiej obronie, po odparciu czterech szturmów, generał Korczak przenosi sztandar na drugi fort; fort pierwszy przechodzi w ręce nieprzyjaciela. Zawieszenie broni — podwieczorek: jajecznicą z kartofflami.

Drugi fort pada z winy pułkownika Pergerichta; żołnierze: Raszer i Hercman awansowani na generałów, generał Zamezykowski za nieporządek w oddziałach zdegradowany (zaczął płakać, więc jako ranny przeniesiony do szpitala, gdzie na pocieszenie dostał karmelek). Pułkownik Pergericht skazany na śmierć, ułaskawiony na prośbę żony i nieletnich dzieci, za męstwo przy obronie fortecy znów awansowany na pułkownika.

Forteca pozostała niezdobytą. Po dwudniowej walce zawieszenie broni na rok...

Jeśli tym stu pięćdziesięciu dzieciom społeczeństwo nie może dać nic więcej prócz wzorzystego snu, to jednemu z nich zabezpieczyć powinno troskliwą opiekę: jest—to jednastoletni poeta żargonowy, Ojzer Płocki; chodził do Talmud-Tory, a że ojciec teraz więcej kaszle, a mniej ma sił do pracy, więc chłopiec musi pracować wraz z siostrą i małym bratem. Oto treść dwóch jego wierszy:

1). Cieszą się dzieci, że wracają do domu, aby zieleń lasu zamienić na wilgotne ściany. Kwiaty śmieją się do słońca, ale czeka je zima, gdy zwiędną.

2) Pracuje kowal dzień i noc; młot nie odpoczywa w jego rękach. Młot dzwoniąc mówi do kowala: uwolnij się z niewoli, rozerwij swe więzy, pracuj aby zmienić tę noc. Ale kowal nie rozumie tego dzwonu; nie rozumie słów młota—i dalej żyje, jak dawniej żył.

Jeśli tym stu pięćdziesięciu dzieciom społeczeństwo nie może dać nic więcej prócz snu, to jemu dać powinno — szkołę, gdzieby mógł się kształcić.

J. Korczak.



Z teki rysunkowej.



Edward hr. Krasieński, b. wiceprezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, mimo że poświęcił się wyłącznie gospodarstwu w rodzinnych Radziejowicach, umie pewną ręką utrzymać ołówek. Przekonywa o tem niniejsza karykatura, przedstawiająca artystę malarza St. Staszewicza.

Kultura muzyczna Krakowa.

Mówić o muzyce w jakimś mieście, znaczy to: mówić o jego instytucjach, ciałach, zespołach muzycznych, o jego artystycznym dorobku, wreszcie o jego kulturze muzycznej w ogólności.

Zwyczajnie, miesza się ze sobą te trzy rodzaje pojęć; kulturę muzyczną np. w Krakowie lubi się analizować w ten sposób bardzo nieanalityczny: „...Kraków nie jest muzykalny (zwyczajnie tę tezę wyrzuca się z powagą na sam przód), bo niema filharmonii... niema opery, ani — co z pewnością najbardziej boli—operetki“. Tymczasem rzecz nie przedstawia się tak prosto. Kultura muzyczna, jak każda inna artystyczna, zależy w pierwszym rzędzie od jednostek muzycznie rozwiniętych. To — bez kwestyi — nie wyczerpuje jeszcze pojęcia słownego symbolu. Rozumiemy przez kulturę muzyczną w dalszym ciągu: zainteresowanie się muzyką szerokich kół, pielęgnowanie w nich muzyki wszelkiego rodzaju, kształcenie i rozwijanie się muzyczne. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę z tego, że wszystko to drugie niekoniecznie idzie w parze z t. zw. muzykalnością i naodwrot: „muzykalność“ — jednostek i kultura w tym sensie, materyał na twórców muzycznych, wcale nie *przeważającym* zależny jest od zewnętrznej gadatliwości muzycznej. Ja-

snem więc powinno być, że nie można odmówić Krakowowi „muzikalności“ tylko z tego powodu, że niema stałej orkiestry symfonicznej, że niema stałej opery i t. d.



Władysław Żeleński.

Takie zresztą odsądzanie od muzikalności byłoby tem dziwniejsze, że faktycznie rzadko o ciekawszy w swej specjalnej artystycznej at-



Dyrektor Barabasz.

mosferze grunt, niż krakowski. Tutaj wychowuje się i czuje się najlepiej młoda i najmłodsza Polska. W prostych formach wyraża się i przy każdej sposobności myśl artystyczna tak, jak nigdzie indziej. Dlaczegoż właśnie muzyka nie rozwinęła się dotąd z pączka, dlaczego jej dzieje się gorzej, niż innym jej siostrzycom? Sądę, dla tego głównie, że jej — muzyce — indywidualistyczne życie takie, jakim jest krakowskie, nie sprzyja. Że jeżeli genialnemu malarzowi czy poecie wystarczy wchłonąć w siebie całe ogromne piękno, jakim się oddycha w Krakowie, gdziekolwiek się stapi, to muzyk nie może obejść się bez wielkich i stałych zespołów muzycznych. I w tem leży rozwiązanie zagadki. Z Krakowa wychodzi Stojowski, ale... nie wraca. Podczas gdy w Warszawie Fitelberg, Różycki, Szeluta mogą dojrzewać na kompozytorów i kierowników orkiestr symfonicznych, w gościnę nawet jeździć do Berlina, nie bardzo gościnnego, a trudnego zwłaszcza dla Polaków — z Krakowa talent muzyczny iść musi, jeżeli skrzydła chce rozwinąć. Jakżeż więc jest w Krakowie?

Z instytucji muzycznych na pierwszy plan wybija się „Tow. muzyczne“ i konserwatorium przy niem. O rozwoju tegoż konserwatorium świadczy najlepiej tegoroczny popis, który zajął trzy dni. Prof. Horbowski, pracujący u nas dopiero od niedawna, zdołał wypełnić dzień pierwszy tej nadzwyczaj interesującej trylogii. Rzeczywiście, mimo, że przykry był sposób, w jaki konserwatorium tutejsze pożegnało się z prof. Marsą, musi się przyznać i uznać ogromną różnicę między tem, co nam przedstawił pan Horbowski, a tem, co dawniej było. Cały szereg młodych i świeżych głosów, doskonale postawionych i prowadzonych, niektóre bezwarunkowo zasługujące na to, aby nie dać im zwędznąć na miejscu. W części drugiej, przez drugie z rzędu całe popołudnie popisywały się młodzieńskie

kwiatki z ogrodu, pielęgnowanego przeważnie przez p.p.: Jana Drozdowskiego, Wieruchowskiego i innych. Prof. Drozdowski, doświadczony pedagog, znany jest zresztą i ze swej naukowo-muzycznej działalności; obecnie przygotowuje ciąg dalszy bardzo pracownej szkoły muzycznej, opartej przeważnie na motywach polskich.

Wreszcie kulminacyjnym punktem popisów od paru lat jest dzień prof. Lalewicza. Nie często się zdarza, aby profesor i artysta tak za jednym zamachem zdobył sobie pole i ludzi, jak p. Lalewicz. Rzecz zresztą nie trudna do wytłomaczenia w trzech określeniach: niepospolity pedagog i niecodzienny człowiek w stosunkach ze swymi uczniami, sam zaś znakomity pianista. Rzeczywiście, odkąd Lalewicz rozbił w Krakowie swe ognisko, przy którym dosłownie grzeje się cała plejada pełnych talentu, życia i nadziei młodych sił, Kraków pod



Prof. Mieczysław Horbowski.

względem fortepianu wzniosł się stanowczo dużo wyżej po nad Lwów i Warszawę.

Wstępny bój i zwyciężki stoczył profesor Lalewicz w zeszłym roku, wypełniwszy produkcjami swych uczniów dwa historyczne koncerty „Tow. muzycznego“. Charakterystyczne jest przytem, że ludzie ci zjechali za swym profesorem z Odessy, czy też Petersburga. Później sam dał się poznać z estrady i przekonał słuchaczy, że konkursu Pulinstaina nie zdobywa się niezasłużenie!

Jak widać z poprzedniego, dziś w naszym konserwatorium króluje fortepian i śpiew solowy; wolonczela i skrzypce, od czasu tragicznej śmierci prof. Singera, spychane są stale na drugi plan. Naukę historii muzyki i teorii traktuje się też dość lekko; a przydałoby się zainteresować się nią nieco głębiej w konserwatorium muzyki.

Wypada warszawianom przypomnieć, że Kraków posiada wyborny męzki „Chór Tow. muzycznego“, prowadzony przez dyr. Barabasz i kilkakrotnie prezentowany już Warszawie z dobrym skutkiem. Żle dzieje się jednak, ile razy ten chór zaczyna się „mieszać“. Jak dotąd przynaj-

mniej, taki „mieszany“ wywoływał bardzo mieszane wrażenia.

Po za tem „Towarzystwo muzyczne“, którego artystycznym dyrektorem, obok głównego, Wł. Żeleńskiego, jest p. W. Barabasz, stara się o to, aby mroki muzyczne Krakowa rozświecić kilkanaście razy w sezonie za pomocą gwiazd z europejskiego firmamentu. Parę razy do roku daje nam bardzo pracowicie przygotowane koncerty symfoniczne, przychem znów dyr. Barabasz musi wyciągać wszystkie swe siły, aby stworzyć jakies stałsze ciało muzyczne z takiego płynnego i fluktuującego elementu, jakim są amatorowie. Bardzo pomocną jest mu orkiestra wojskowa 100 p.p. i o niej można śmiało powiedzieć, że orkiestr wojskowych równie wyszkolonych i zespoleonych jest wogóle niewiele.

Przez pewien — krótki — czas Kraków cieszył się nadzieją, że przecież na jego gruncie wzrośnie orkiestra symfoniczna. Istniało tutaj mianowicie Tow. przyjaciół muzyki krakowskiej „Harmonia“, utrzymujące orkiestrę. „Harmonia“ odrodziła się, kierowana zdolną ręką p. Jana Górskiego. I stało się, że Kraków przeżył w przeciągu niespełna półtora roku sześć koncertów symfonicznych, pięknych i poważnych.

Ale ta pogoda symfoniczno-muzyczna nie była, niestety, trwałą. P. Górski opuścił Kraków dla Londynu. Odtąd „Harmonia“ znów, jak za swych przedkryzysowych czasów... „interpretuje“ mazury, walce i t. p...

A dorobek artystyczny w ludziach i ich czynach — dziełach?

Sędziwy Żeleński, przepysny pieśniarz, od czasu do czasu tworzy nową operę. Ostatnio „Stara baśń“ po raz pierwszy wystawiona



K. Zelechowski.

we Lwowie, podobno ogólnie i szczerze się podobała. Profesor tutejszego konserwatorium, p. Tel. Szopski, przenoszący się obecnie do Warszawy, dawniej częściej jakoś się odzywał. Nie tak dawno jeszcze te mu prześliczne ukazały się pieśni ludowe w jego opracowaniu.

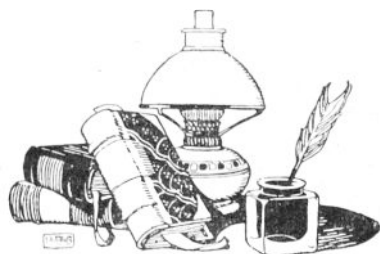


Prof. Jerzy Lalewicz.

Kraków.

Dr. J. R.





Z literatury.

Jan Lemański. „OFIARA KRÓLEWNY”.
Warszawa. Gebethner i Wolff.

Są gatunki win, szczególnie hiszpańskich, ze smakiem których trudno jest oświcić się człowiekowi pijącemu stale popularne trunki symplistów aż do wody Ursus włącznie. Takim winem, kosztownymi korzeniami zaprawnym jest, też Lemańskiego twórczość, ta hypochondria musująca wciąż perełkami szampańskiego humoru, w smaku cierpkawa, słodkawa, zimna, a jeżeli w wielkich kieliszkach podawana, to i nieco niestrawna. „Ofiarę królową” Lemańskiego, groteskową powiastkę ku czci solipsyzmu pełnym głosem zdrowego wątrobiarza wyśpiewaną, należy czytać z pausami, dobrze rozgryzając orzeszki gorzkiej jego zaciekłych docieków, przenikliwie wpa-



Jan Lemański.

trując się w żartobliwą głębię jego fikcji, rozlaną na płytkim talerzu, ale—z autentycznej sewskiej porcelany. Pojedyncze rozdziały ofiar tej królowy, (co nigdy zapewne w życiu nie zbanalnia swych paluszków odegrywaniem na klawikordzie „Modlitwy dziewicy”) to świetne fugi centrypetalne pianisty, który znużony Europą i jej kaprawą cywilizacją, czuje w sobie nostalgie wprost jaguarowe, a nie mogąc i nie umiejąc przegryźć pretłów klątki środowisk, z beznadziejnym uporem po 500.000 razy przebiega około drewnianych ścian i żelaznych wpół zardzewiałych pretłów, zamiatając jeno kurz klątki puszystym ogonem i od czasu do czasu wyjąc przeraźliwie, aż nas wszystkich ciarki przechodzą; choć przeważnie bijemy brawo... I dziwimy się jak można tak lata całe nie jeno zrzędzić i zrzędzić przekornie na klątkę, na menażeryę, na regulamin przestrzegany przez dozorców, na punktualność godziny żertwy, na gaszenie światła po odejściu publiczności i na tej publiczności tepo-mordności i na jej „Pojejkna” nie pojętność... W „Ofierze królowy” tensam fakir nadwiślański gmerze paluszkami kontemplacji w pępku kwestyi ustos-

sunkowania piękna do cyfry, kwestyi dobrze już przedyskutowanej, obegranej i obelganej; znów bestya bajeczna Ktezyasa gryzie swą własną łapę, patrząc z podełba w kotłinę pracujących mrówek, skrzętnych pszczołek i sympatycznej szarańczy. Ale ta wyprawa krzyżowa przeciw bliźniemu zeru udaje się na całej linii. Sa Ma-jeste SAM (samotny samiec!) odnosi bitwa po bitwie same zwycięstwa... pyrhusowe. Olbrzymie beczki świeczków i gwoździ zardzewiałych i polamanych wywożą na brzegi Powiśla. Królewicz na Eliaszkowym prześcieradle jedzie do nieba. Filozofia Wielkiego Wezyra zaczyna być popularną w najodleglejszych świeczkarniach... Najpodlejsze bretnale nie chcą wlażyć w ścianę i tam—tkwić z zawieszonymi na swych szczyłach landszaftami ale życzą sobie żyć po Cezaro-Borgiowemu... ot jak taki Eliogabale!

Opowieść jednak przednia. Substancja ironiczna rozpylona tak umiejętnie, że nie ma strony, któraby nie woniała zacnym potem bon citoyna i zwalczającymi go mozołnie wszelkimi woniami Arabistanu. Po grzędach płynnej dla omal dzieci narracji, to znów po cudacznych rabatach ekiwów, to spiralną ścieżką wiodącą na nie zbyt wysoki pagór stoickiego nieprzebiegalnego zelotyzmu stąpa w tęczowym ornacie łasy i na dobrego kapłana kapłan czystej jak kieliszek Sauterna Sztuki; w czarodziejskim jego wirydarzu soliterne kwiaty wybuchają w olbrzymich kielichach, w których wnętrzu złośliwy przyrodnik szukałby... i nie Sheherezadowego solitera i nie... z rubinowymi oczkami, a jego rywal może i odchyłaby u bajecznych krzewów liści kosmatych, by gdzieś pod nimi odnaleźć z tryumfem duże kamienie... zółciowe. Zaczarowany ogród otaczają kasarnie bytu społecznego z biednymi monadami ziewającymi w nieprzeliczonych oknach społecznych „skyscrapersów”. I od czasu do czasu słyszysz z ogrodu biedne, przeciętne 33 lata żyjące robactwo aryostyczne śmiech kapłana, uganiającego się po grzędach za już podkarmionymi kapłanami. Od czasu do czasu dochodzi okien kasarn piosenka solipsysty wygrywa na dmuchaniem na flecie ulinowym z kamforowego drzewa; chanson monomaniaque pt: „L'amour de la haine”. A w jednym z okien wysokiej społecznej kasarni słychać szept dyskretny pewnego świeczka do kółka: A jednak *gwoździem* tego wszystkiego jest fakt, że i... Sam-Smok Sam-Son sonnambulicznie chodzi w kieracie solipsystycznego samogwałtu, nie zdolny sobie z za ucha strzepnąć nawet tego pajaka ekiwów.

— Pauvre Lelian! Pauvre Leman!
Correct, ridicule et charmante...

— Ehe. A nullum ingenium sine mixtura dementiae...

— Ehe... No, ale teraz chodź aniele i zagraj panu „Modlitwę dziewicy” Bądarzewskiej. Nasi kapłani to lubią dla wytchnienia...

— Dobrze mam! Był się tylko

kapłon nie przyrumienił zanadto. Tego kapłani nie lubią...

— No, tego już dopilnuje Sam Wielki Wezyr.

I ofiara królowy wypełnia się w dźwiękach fortepianowych „Modlitwy dziewicy”. Nim przyjdzie dla kapłana kapłon.

Adolf Nowaczyński.

Antoni Kamiński. WIOSENNY PORANEK. Z notatek lekarza waryatów z rysunkami autora. Warszawa.—Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków.—G. Gebethner i Sp. 1907.

„Nie piszę powieści, mały tylko fragmencik z życia artysty—historię jednego tylko wiosennego poranku...” — mówi autor.

I daje fragment z tej całej wielkiej epopei bólu—jaki przeżywa dusza artysty, błądząca po wyżynach—w zętknięciu z poziomym światem, akord z tej całej symfonii jęków, szarpań, katuszy—jakie targają duszę jego—w ścieraniu się z codziennym życiem.

Zaleski pełen talentu i aspiracji rzeźbiarz—chce świat zadziwić swoim „Geniuszem”. Chce na rozpiętych jego skrzydłach porwać wszystkich— a ci nawet, którzy nie zaznali wlotów—muszą uledeć sile jego ducha, muszą wzbić się z nim w rejony panowania Sztuki—piękna!

„Jeszcze krok na twojej drodze, a nie będzie nocy”, powtarza rzeźbiarz z Goszczyńskim, pracuje, boryka się, walczy. A tylko jedna dusza w córce stróża—Zosia, bo jedna tylko zapatrzona dużymi, smutnymi oczami—odczuwa go—śledzi, współczuje i kocha.

Świat—w osobie nawet najbliższego przyjaciela mówi: nie bądź waryatem, życie ma swoje prawa, rób biusty brzydkich, tłustych bogaczek i pamiętaj, że „kto pieniędzy nie ma, jest paryasem...”

Wiosenny poranek mija... Zosia wychodzi za ogrodnika, pokutującą w niej miłość sztuki—dziedziczy jej synek. A Zaleski z marzeniami o arcydziełach Gerome'a, Dubois'a, Carpeaux'a, które tam... w wymarzonem Paryżu świecą jak pochodnie zapalone na chwałę Sztuki—rozbija, kruszy, łamie, w szale rozpaczonym—wszystkie swoje prace.

„Ileż to jeszcze kroków na twojej ciernistej drodze i azali kresem tej ciemnej nocy nie będzie blade światło śmierci?!”

Tak kończy artysta swą opowieść, przepojoną goryczą, w której czuć łkanie duszy i namiętną chęć zerwania pęt, jakimi fantazję krępuje polyspłotność.

Książkę ilustrują rysunki p. Kamińskiego—pełne ekspresji, w których znać tę rękę pewną i świadomą swych celów. A wytwornego wydania ostatnia karta, mimo wszystko—znaczy ciemności, kajdany, gruzy, które rozjaśnia, rwie i rzuca, wzlatujący do światła na rozpiętych skrzydłach—wyswobodzony—Geniusz sztuki. J.





pała się wesołym gronem na murawę przed dworkiem, ofiarowanym jej na letni pobyt, tuż obok pięknego parku i rzeki, wśród bujnych pól ukraińskich. S.

W ostatnich czasach, jak wiadomo, rozwinęło się w Kijowie, korzystając z pozwolenia władzy, kilka stowarzyszeń polskich. Z tych jedno z najczynniejszych, mianowicie Towarzystwo kolonii wakacyjnych, wyprawiło już w tym roku parę setek ubogiej dziatwy w różne strony kraju, gdzie zostają gościnnie przyjęte przez miejscowe obywatelstwo. Jedną z takich kolonii, ugośczonej w wsi Szapijówce przez rodzinę hr. Tyszkiewiczów, przedstawia nasza ilustracja. Działwa wysy-



Hr. J. Aleksandrowiczówna w swym laboratorium.

bardzo szczupłej pomocy swoich znajomych, utrzymuje ona od szeregu lat ambulatorium dla chorych pozaszpitalnych, opatrując od 14 do 18 tysięcy chorych rocznie. Ale to dla niej jeszcze za mało! Pragnęłaby ona gorąco utworzyć małą choćby instytucję, któraby dalej prowadziła jej wielkie dzieło miłosierdzia. W tym celu pragnie założyć szpital, jak na początek na 10 łóżek. W tej nowo powstałej instytucji wychowywane byłyby pielęgniarki dla rozsyłania po wsiach. Nie chodzi tu bynajmniej o wielkie sumy. Na początek, na założenie szpitala, wystarczy 5,000 rb. Wiadomy ogólnie jest brak miejsc w naszych szpitalach — chorzy umieszczani są czasami po korytarzach, lub odsyłani do domów. Wierzmy szczerze, że wszyscy ci, którzy nie mają serc z porcelany, a mają serca pławiące się w ogniu „miłości” dla bliźnich, zechcą choć skromnym datkiem upamiętnić współdziałanie swe w dziele tej zacnej filantropki. Będzie to zasługa, która im nie przyniesie sławy — ale da im wewnętrzne zadowolenie i poczucie spełnionego obowiązku!

r.

Jubileusz filantropki.

Dziś, w epoce materyalizmu, w epoce rozluźnienia wszystkich niemal etycznych pojęć, w epoce buchających niezdrówym ogniem namiętności i ciągłych konfliktów społecznych i politycznych, wszelka ofiarność, wszelkie zaparcie się swojego „ja” na korzyść ogółu, jest zjawiskiem nadzwyczaj rzadkiem i godnym naśladowania. Dwa są jednak źródła, z których wypływa owa ofiarność. Pierw-

sze z nich — to duma, pycha, to chęć taniego rozgłosu i wzniesienia siebie na piedestał jakiejś „podejrzananej” wielkości. Drugie — prawdziwe i szczerze ukochanie wszystkiego tego, co cierpi, co kona gdzieś w zapomnieniu — wszystkiego, co jest słabe, biedne i nieszczęśliwe.

Ofiarność i filantropia hr. Julii Aleksandrowiczówny wypływają z tego drugiego źródła. Dwadzieścia pięć już lat mija, jak ta zacna i niestrudzona Pani z niesłabnącą nigdy energią pracuje dla dobra tej „nieszczęśliwej” ludzkości. Przy

Jak się stroją obecnie paryżanki.



„Śmietanka” towarzystwa na wyścigach w Longchamps.



W westibulu teatru miejskiego we Lwowie umieszczono płaskorzeźbę, przedstawiającą portret twórcy gmachu, ś. p. Zygmunta Gorgolewskiego. Rzeźbę wykonał prof. J. Beltowski, a inicjatywa do uczczenia pamięci budowniczego teatru wyszła od grona profesorów lwowskiej szkoły przemysłowej, której dyrektorem był ś. p. Gorgolewski.

Felieton Warszawski.

Znaną jest przypowieść o złej tanecznicy, której koszula przeskadała w płasach. W Warszawie słyży się na każdym kroku skargi na brak kulturalnych urządzeń, a raczej na niekulturalność wszystkiego, co nas otacza i z czem się codziennie spotykamy. Innymi słowy — my jesteśmy ogromnie kulturalni, lecz ponieważ los wybrał nam ojczyznę bardzo niekulturalną, więc cierpimy bezustannie i tylko podczas krótkich wycieczek zagranicę czujemy się we właściwej i odpowiedniej dla nas atmosferze.

Zagranica istotnie podziwiał kulturę polskich hrabiów, baronów i już co najmniej zwykłych szlachciców. W każdym obcym mieście umięją oni w lot odkryć najlepsze restauracje i najweselsze *buns'y*. Mają czasem przykre nieporozumienia z fiakrami i ze służbą hotelową, gdy próbują wprowadzać patryarchalne per ty wyzywania. Mają niekiedy nieporozumienia z policją, gdy na ulicach Paryża lub Berlina zbyt natrętnie chcą przekonać ładniejsze panie, iż polskiej przedsiębiorczości oprzeć się nie można. Te drobne rozdzźwięki nie są w stanie zepsuć polakom tej opinii, jaką posiadają u portyerów hotelowych i u restauracyjnych garsonów (w muzeach i bibliotekach mniej są znani). Budzą podziw manierami i dezygnolturą, a także zmysłem krytycznym, który nie pozwala na gminne uniesienia. Hrabina polska, znalazłszy się po raz pierwszy nad morzem (nawet polskiej hrabinie może się to kiedyś zdarzyć po raz pierwszy) nie zdradzi podziwu lub

zachwytu, lecz powie z lekkim przekąsem:

— Myślałam, że to coś większego!..

Wiemy tedy, jak się czujemy i jak nas cenią za granicą. Ale na miejscu?..

Osobiście, jak przystało prawomysłnemu obywatelowi, (który nie chodzi nigdy tam, gdzie dachówka może spaść na głowę), podzielałam najzupełniej zdanie większości moich współmieszkańców. Jesteśmy niezwykle kulturalni, a tylko wszystko wokół nas... i t. d. Posiadam wszakże przyjaciela, z powołania pesymistę i przytem człowieka bez zasad, który od czasu do czasu usiłuje podkopać moją wiarę w kulturalność publiczności warszawskiej rzekomo autentycznymi anegdotami. Opowiada np. takie nieprawdopodobne historie:

— Mówią, że kolejka wilanowska jest fatalnie urządzona, że wagony są brudne i trzęsące, że wloką się, jak wóz żydowski z jajami, że iskry i dym narażają na szwank oczy spacerowiczów. A ja ci mówię (chwilami wstyd mi, że ten ptak, kalający własne gniazdo, jest ze mną na tej stopie poufałości) — a ja ci mówię, że te wagony są jeszcze za „kulturalne“ dla naszej publiczności, która nie przestrzega przepisów, śmieci i zachowuje się najniesforniej. Jadę w niedzielę do Wilanowa. Obok mnie siedzi starszy pan z kilkunastoletnią córeczką. Nie zdążył kupić biletów w kasie, płaci konduktorowi.

— Za córeczkę pół ceny, bo chodzi na pensję.

— Proszę o świadectwo — odzywa się grzecznie konduktor.

Ojciec szuka w pugilaresie przez dziesięć minut.

— Zapomniałem.

— W takim razie musi pan zapłacić za cały bilet.

Starszy pan obrusza się gwałtownie.

— Co takiego? Pan mnie nie wierzy? Ja, panie, jestem szlachcie, ja cię nauczę!!

— Kiedyż mnie inaczej nie wolno — tłumaczy konduktor — pan wybaczy...

— To takie u was żydowskie porządki! — woła starszy pan — szukany będziecie robić?

— Jeśli pan nie chce zapłacić, niech pan wysiadzie na najbliższej stacyi.

Tu się zaczyna tragedia. Starszy pan uważa się za obrażonego, obrzuca stekiem wyrafinowanych obelg i pogroźek konduktora, który spełnia tylko swój obowiązek...

Do wagonu dla niepalących wchodzi młody frant i zapala niedbale papierosa.

— Tu nie wolno palić — odzywa się nieśmiało jedna z pań.

— E, proszę pani, jeden mały papierosik — odpowiada wesoło młodzieniec. I, przysuwając się do niej, pyta poufnej: — Pani mąż zapewne nie pali, więc i pani nie przyzwyczajona.

za chwilę wchodzi paru innych panów i widząc zapalonego papierosa w ustach grzecznego kawalera, kładą do ust cygara, fajki.

— Tu nie wolno palić!..

— Wypraszamy sobie uwagi. Dla wszystkich jednakowe prawo.

Na ławkach pierwszej klasy rozsiadło się kilku młodych rodaków w strojach rzemieślniczych. Konduktor prosi o bilety.

— Panowie mają drugą klasę. Niech panowie się przesiadają.

— Cóż to znowu za podział na obywateli pierwszej i drugiej klasy? Usiedliśmy, to będziemy siedzieć.

— Ale proszę panów — tłumaczy się konduktor — ja mogę zapłacić karę.

— I jakaż to różnica między pierwszą a drugą klasą — pyta pogardliwie jeden z owych demokratycznie nastrojonych pasażerów.

— Tu są poduszki, tam niema.

— A weźże towarzysz sobie poduszki i zostaw nas w spokoju!

Gdy konduktor usiłuje jeszcze protestować, demokraci zrywają ze złością poduszki z ławek i rzucają mu je w nos. Sponiewierany przez szlachcica, sponiewierany przez demokratów, konduktor idzie na najbliższej stacyi do bufetu zalać robaka. Zamiast dwóch minut, pociąg stoi dwadzieścia...

— I tak, mój drogi, wszędzie i zawsze — ciągnął dalej mój przyjaciel — publiczność warszawska wyrzeka na brak dobrych teatrów, ale gdy teatr Letni wystawił świetnie „Candide“, a Gawalewicz „Mieszczan“ — taż sama publiczność woli iść na „Florette i Patapon“ lub na „Warszawę w nocy“. Wyrzeka na niekulturalność służby domowej — i postępuje ze służbą, jak z niewolnikami. A jak są traktowani dorożkarze, garsoni restauracyjni? Przy każdej sposobności wybucha niecierpliwego gniewu, ordynarne wyzwiska. Skarżymy się, że Warszawa jest brzydka, że nowe kamienice są szpetne. Wierz mi, że smak naszej publiczności jeszcze jest gorszy.

Dłużej nie mogłem słuchać tych herezyi. Pożegnałem oziębłe mego przyjaciela, zapewniając, że nie omieszkam jego potwarzy napiętnować publicznie. Wkrótce wszakże uspokoiłem się. Czy my nie jesteśmy dumni z naszej kultury? Czy nie chwalimy się naszą wyższością kulturalną gdzie należy, a nawet gdzie

nie należy? To przecież najlepszy dowód, że ją posiadamy.

— Panie — mówił mi raz jeden współobywatel, — jaki ja jestem inteligentny!..

— Rzeczywiście?

— Pan ma wątpliwość? — obruszył się. — *Słowo panu daje.*

Naturalnie, uwierzyłem. On przecież musiał wiedzieć najlepiej.

Redivivus.

Wzrusz

Jubileusz Akademii weterynaryj.

Akademia weterynaryj we Lwowie, jedyna tego rodzaju szkoła w Polsce, obchodziła w tygodniu ubiegłym uroczyste 25-letni jubileusz swego istnienia. Dzieje tego ważnego zakładu naukowego stanowią typową ilustrację warunków,

w jakich rozwijać się musi naszeszkolnictwo, uzależnione od obcych, niechętnych nam rządów. Założona w r. 1882, nie wyposażona na leżycie od razu w potrzebne środki naukowe, szkoła musiała od początku walczyć z olbrzymimi trudnościami, które zresztą i dziś jeszcze w znacznej części nie zostały usunięte. Zakład nau-



Dr. Józef Szpilman, rektor Akad. wet. we Lwowie.

kowy, od którego istnienia i prawidłowego działania zawiśł w niemalym stopniu rozwój jednej z głównych gałęzi naszego gospodarstwa, musi cierpliwością przebijać

mury nielojalnego, nieżyczliwego nastroju wiedeńskich kół ministerjalnych. Tak mści się na wszystkich polach, we wszystkich kierunkach pracy, upadek polityczny. Tam nawet, gdzie, jak w Austrii, szczęśliwe okoliczności i roztropna polityka pozwoliły nam uzyskać polskie szkolnictwo, rząd, nieprzychylny nam w głębi duszy, tamuje jego rozwój i opóźnia ogólne odrodzenie kraju.

Lwowska akademia weterynaryj, mimo tak niekorzystnych warunków istnienia, oddała krajowi pierwszorzędną usługę, a sama zdobyła sobie poważne stanowisko w świecie naukowym. W murach jej nauczali, lub nauczają znakomici uczeni, jak Nusbaum, Kadyi, Szpilman i inni. W ciągu 25 lat kształcili się w niej, oprócz Polaków i Rusinów, Czechy, Chorwaci, Bułgarzy, Niemcy, Serbowie. Literatura specjalna weterynaryska znalazła tu oparcie dla licznych wydawnictw, w tej liczbie dla dwóch periodycznych („Przegląd weterynaryj”, „Hodowca drobiu”). Zbiory naukowe,

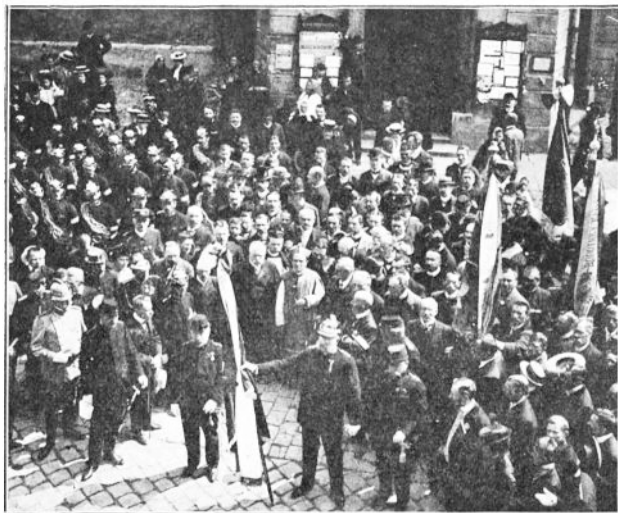
jakie powstały dzięki gorliwym zabiegom profesorów, są tak cenne, że pod tym względem może Akademia lwowska iść w zawody z zagranicznymi zakładami, które rozwijały się pod opieką mniej skąpych, bo własnych rządów. Wreszcie doniosłe usługi oddała Akademia krajowi pod względem gospodarczym, dostarczając mu fachowo wykształconych lekarzy. Podniosła się znacznie hodowla zwierząt, wzrósł wywóz, który powiększył dochody kraju o kilkanaście milionów rocznie. Stosunki policyjno-weterynaryjne doznały takiej poprawy, że podług przyznania kompetentnych organów wiedeńskich Galicya stoi pod tym względem obecnie najwyżej ze wszystkich krajów monarchii.

Jest więc dwudziestopięciolecie tej szkoły niezbitym dowodem, iż umiemy z korzyścią dla kultury pracować nie gorzej, niż inni, chociaż rozporządzamy drobną zaledwie częścią tych środków, jakie stoją do dyspozycji szczęśliwszych od nas społeczeństw.

Lwów.

J. Lęski.

Zjazd strażacki we Lwowie.



„Bywaj straży, bywaj chorąży. bywaj Ta, która nie zginęła”.

We Lwowie odbył się zjazd delegatów krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych. Przybyło około 140 delegatów z po za Lwowa, nadto przybyli goście z Królestwa, z Czech, z Bukowiny. Uroczystym punktem zjazdu było poświęcenie przez ks. biskupa Bandurskiego sztandaru „Związku”. Ilustracja nasza przedstawia chwilę po akcie poświęcenia, gdy prezes „Związku” dr. Alfred Zgórski oddaje sztandar pierwszemu chorążemu p. Ant. Szczerbowskiemu.



Jubileuszowy Zjazd byłych uczniów Akademii weterynaryjnej we Lwowie.

Antoni Lange w więzieniu.

(Szkic wykonany na miejscu).



Poeta, umiejący wznieść się na szczyty myśli, usiłuje skrócić nudę więzienną...

Autonomia Transwaalu.

Świeżo mamy wszyscy w pamięci niedawną wojnę w Transwaalu, bohaterskie wysiłki Boerów, broniących swej ojczyzny przed najazdem angielskim i rozpaczliwy koniec walk.

Czego się można było po upadku nieszczęsnej republiki spodziewać?

Przedewszystkiem—vae victis!—prześladowania i ucisku ze strony zwycięzców. Następnie w naturalnej konsekwencji nienawiści pomiędzy dwoma narodami—nienawiści, która przeżywa całe dziesiątki lat i przechodzi tradycyjnie z pokolenia na pokolenie.

Do takich najprostszych wniosków mogło śmiało skłaniać doświadczenie, wysnute z historii „cywilizowanych” społeczeństw.

Jen. Ludwik Botha, jeden z naj-



Jen. Botha, jako wódz armii boerskiej, walczy przeciwko Anglikom.

dzielniejszych wodzów armii boerskiej, mówił do francuskiego korespondenta, ukazując mu ruiny swej fermy, zburzonej przez angielskie armaty:

— Nie każe nic odbudowywać, aby dzieci nasze wiedziały, cośmy przeczepili za ojczyznę.

I oto w cztery lata potem—w marcu r. b., ten sam Ludwik Botha przybył do Anglii, aby jako pierwszy minister Transwaalu, wspólnie z ministrami angielskimi, wziąć udział w konferencji kolonialnej.

Cóż się stało? Czy Boerzy stoczyli nową wojnę z Anglikami, o której świat nie wiedział?

— Nie — mieli tylko to szczęście w nieszczęściu, że Opatrzność obdarzyła zwycięzców ich nie tylko siłą, ale i rozumem.

Rząd angielski pojął, że prześladowaniami nie zjedna sobie Boerów, ani nie zatrze w ich sercach wspomnień krwawej wojny. I nie zmuszał dzieci boerskich do odmawiania pacierzy w języku angielskim.

W cztery lata po zawarciu pokoju w Vereeniging (31 maja 1902 r.), który wcielił południowo-afrykańską republikę do ziem korony angielskiej, Transwaal uzyskał autonomiczną konstytucję i dziś rządzi nim dawny generałowie armii boerskiej.

W marcu r. b. otworzono pierwszą sesję nowego parlamentu transwaalskiego. Przedstawiciele boerów, połączwszy się z socjalistami, uzyskali większość nad „nitlanderami”, t. zw. nowymi przybyszami, którzy osiedlili się w Transwaalu po wojnie. Rząd angielski nie uląkł się tej większości.

A nawet, jakby dla zapewnienia boerów o szczerości swych odtąd przyjaznych uczuć, król Edward przywrócił Transwaalowi jego dawny republikański sztandar o czterech barwach i ostatecznie ulaskawił pułkownika Lyncha, który, jak czytelnicy przypominają sobie zapewne, będąc poddanym angielskim, walczył po stronie Boerów przeciwko Anglii, a więc zastąpił na karę śmierci.

I oto dla kraju, który przed czterema laty był przedmiotem współczucia



Jen. Botha, jako pierwszy minister Transwaalu, przedstawia p. Campbell-Bannermanowi swoich kolegów ministerialnych.

świata całego, otwiera się nowa era historii, kto wie czy teraz nawet, korzystając ze wszelkich swobód, a mając po za sobą wszechpotężną opiekę angielską, Boerzy nie będą spokojniejsi i szczęśliwsi.

W każdym razie rozumny, a dzięki temu szlachetny liberalizm rządu angielskiego przyspieszy bardzo chwilę, w której w pamięci obu narodów zatrze się obraz straszliwych klęsk wojny. Te same tłumy, które, ogarnięte szałem nienawiści, wyśpiewywały aż do dzikości nacyonalistyczne hymny Kiplinga, dziś z entuzjazmem niemniejszym witały w Londynie pierwszego ministra Transwaalu.

I generał Botha, wyjeżdżając, z rozrzuconiem dziękował Anglikom za to serdeczne przyjęcie.

Być może więc, że odbuduje swą fermę.

wp.



Z teatrów warszawskich

TEATR MAŁY w FILHARMONII: „Pierwsza Mucha” W. Kryłowa, przekład A. Siemaszki. TEATR LETNI: „Ostatni kos”, komedia w 1 akcie B. Herbaczewskiego; „Rodzina Malefilâtre”, komedia w 2-ach aktach J. Porto-Riche’a. Nowy dyrektor sceny dramatycznej.

W. Kryłowa nazwał ktoś rosyjskim Bałuckim. I niewątpliwie są pewne podobieństwa między autorem „Domu otwartego”, a twórcą „Pierwszej muchy”: ta sama dosadna, acz powierzchowna charakterystyka osób, akcja prosta, lecz logicznie pomyślana, humor szczerzy, choć niewyszukany. Wszakże u Kryłowa występują dość wyraźnie na jaw pierwiastki, które są właściwością wszystkich niemal pisarzy rosyjskich, a które są obce duszy polskiej: pesymizm, przechodzący bezwiednie w nienawiść własnego społeczeństwa i ojczyzny, pesymizm beznadziejny, nihilistyczny. Jeśli rozpatrzyć się bliżej w postaciach, które Kryłow wyprowadza w swej komedii, to pomimo względnie pogodnej atmosfery małomiasteczkowej, dostrzeżemy wyłącznie ludzi lichych, albo głupich—albo równocześnie i lichych i głupich; o jedynej dodatniej figurze, niedźwiedziowatym Połoziewie, możnaby za Szczedrynem powtórzyć: u nas w mieście sami łajdacy, z wyjątkiem prokuratora: a i ten jest św...

Osnowa sztuki nie jest zawiślana. Generał książę Czembarskij, dygnitarz i arystokrata, przybył za prywatnymi interesami do gubernialnego miasta. Wiedząca panna korzysta ze sposobności, by użyć go za „pierwszą muchę”, która ściągnie opornego konkurenta do jej kolan. Książę ulega prośbie zalotnej i przebiegłej dziewczyny, zgadza się grać rolę pretendenta do jej ręki. To otacza pannę aureolą powodzenia, cała wolna młodzież staje w szrankach o jej względy, wkrótce kapituluje i upragniony Połoziew. Wtedy jednak okazuje się, że marcowy kawaler, wytworny książę, na seryo wziął swą rolę i rozkochał się w panience, która zresztą

Emigracja artystek.



P. Marya Bogucka, młoda śpiewaczka, która w ubiegłym sezonie opery warszawskiej zdobyła sobie szczerze uznanie krytyki i wielkie powodzenie u publiczności, pożegnała obecnie Warszawę. P. Bogucka została zaangażowana do Pragi Czeskiej i Turynu.

kokietowała go z wprawą prowincjonalnej kokotki. Zapóźno. Anna Okry-nienko zaślubia swego gruboskórego pocziwca.

Komedia Kryłowa posiada wy-borną popisową rolę starzejącego się, a czulego na wdzięki niewieście jenerała. Kamiński tworzy w tej postaci prawdziwe arcydzieło sztuki aktorskiej. Jest to kreacja, która w dobie upadku naszych teatrów i zniechęcenia do pracy najbardziej nawet utalentowanych artystów, stanowi wysiłek zgoła wyjątkowy i podziwu godny. Dobrym partnerem Kamińskiego jęst Siemaszko, wybornie ucharakteryzowany na biurokratę. Wogóle „Pierwsza mucha“, reżyserowana przez Kamińskiego, wystawiona była i grana doskonale, i jedynie główna rola kobieca znalazła nieodpowiednią przedstawicielkę.

„Ostatni koszt“ p. Herbaczewskiego, wystawiony w teatrze Letnim, należy do repertuaru teatrów amatorskich: odegrany na imieniny ciotki lub wujaszka przez młodocianych dyletantów mógłby w burżuazyjnym saloniku wywołać oklaski. W teatrze Letnim — znalazł się na niewłaściwym miejscu. Jednoaktówka ta była prztem obsadzona i grana bardzo nieudolnie.

Dwuaktowa komedia Porto-Riche'a, autora świetnej psychologicznej komedii „l'Amoureuse“, osnuta jest na tle zdrady małżeńskiej w sferze wieśniaków normadzkich. Ta sama historia mniej więcej, co w „Cavalleria rusticana“. Ale tam ognisty włos kładzie trupem rywala; tu zdradzonego mąż, mimo obrażonej czci, nie przestaje kochać płochej kobiety i rzuca

dla niej rodzinę i wieś, woli szczęście w hańbie, niż honor bez szczęścia. Podobny upadek mężczyzny odmalował bardzo głęboko i boleśnie Oktawiusz Misbeau w jednej z dawniejszych swych powieści „le Calvaire“.

Porto-Riche daje tylko zewnętrzną stronę dramatu nie sięgając do głębin duszy i serca swego normadzkiego bohatera. Nie posiada również płomiennego temperamentu Vergi, który w miłosny dramat Santuzzy wkłada cały żar południowego nieba. „Rodzina Malefilâtre“ jest komedią poprawną, zręcznie zrobioną, nie wykracza jednak po za przeciętny szablon, wzruszenia ani nawet żywszego zajęcia nie wywołuje. Grana była na ogół dobrze, a para debiutantów, p. Tworkowska i p. Żarniewski wywiązali się z swych ról szczęśliwie.

Teatr Rozmaitości pozyskał wreszcie, jak głoszą wieści dziennikarskie, nowego kierownika. Ma być nim Kazimierz Zalewski, znany autor dramatyczny i krytyk. Wszyscy pragniemy gorąco, aby nasza pierwsza scena wyszła nareszcie z okresu upadku i anarchii obecnej. Wszelkie ucziwe próby i usiłowania w tym kierunku zasługują na poparcie. Nie wiemy jednak dodać, co zamierza pod tym względem uczynić dyrekcyja, która odrzuciła sanacyjne propozycję Kotarbińskiego i Kamińskiego, nie wiemy jakie są projekty K. Zalewskiego. Zapewne niebawem dowiemy się bliższych szczegółów, które pozwolą dokładniej zorjentować się w sprawie, tak żywo interesującej Warszawę.

S. K.



Stow. Kursów dla Analf. Dorosł.

Biuro Zarządu Stowarzyszenia Kursów dla Analfabetów Dorosłych przeniesione zostało na ul. Erywańską Nr. 3, m. 15, telefon Nr. 958 i podczas wakacji czynne będzie w poniedziałki, środy i piątki od godz. 6½ — 8 wiecz.

Konkurs piękności na Dynasach

(dnia 27 b. m.)



Panna P., nagrodzona przez jury, pierwszą nagrodą. Uroczą laureatką jest współpracowniczką firmy B. Hersego.

Ze sfer dziennikarskich.



W d. 18 ym b.m., ogodz. 1-ej pp., w kościele św. Piotra i Pawła na Koszykach, ks. Kirchner pobłogosławił z wia z e k małżeński panny Lucyny Grabowskiej, córki Konstantego i Zofii z Jaroszyńskich Grabowskich z Kadiejewki,

w gub. Ekaterynosławskiej, z panem Janem Czempnińskim, synem nieżyjącego Jana i Maryi z Wójcickich Czempnińskich, współwłaścicielem i współredaktorem „Kuryera Północnego“. Państwo młodzi wyjechali za granicę.

Zjazd koleżeński lekarzy

(Fot. J. Golcz.)



B. wychowawcy warszawskiego fakultetu medycznego, którzy ukończyli studia uniwersyteckie w r. 1887, po dwudziestu latach spotkali się znowu w Warszawie. Z 59-u stawili się na zjeździe 19-u. Między innymi wzięli udział w koleżeńskej uroczystości doktorzy: Jasiński, Szulc, Rosenberg, Brzozowski, Gedryk, Morozowicz, Pluta, Kurtz, Rokicki, Szaniawski, Karł-Łdzbad, Wiśłocki, Lubliner, Reut, Zubowicz.



Wyniesienie trumny ś. p. Niedźwiedzkiej.

W Iwieńcu.

W Zasławiu (stacja kolei Li-bawskiej) zaczepiają mnie żydki i chrześcijanie-furmani.

— Pan dobrodzieju do Kabowa?

— Może do Iwieńca?

— Tak, do Iwieńca. Czy to daleko?

— Będzie 4 mile przeszło, ale droga bardzo „obojętna“ (t. j. zła), bo ziemia „rozmiększy“, to kamienie powychodziły na wierzch...

Jadę po tej „obojętnej“ drodze i okazuje się, że robię dobrych 5 mil, a z objazdami najbardziej „obojętnych“ miejsce chyba ze sześć...

Okolice śliczne. Miejscowość fa-lista — czasem silne urwisko — jar. Ale, niestety, piękności te przepadają, bo błoto ochlapuje mnie bezustanku z dołu, a deszcz leje z góry.

Wreszcie znajduję się na miejscu, gdzie zdarzył się t. zw. „opór władzy“, ofiarą którego padła starowinka, Niedźwiedzka.

Proboszcz, ks. Szczerba, tylko co skończył raport do swoich władz i skargę do gubernatora. Zmęczony stał przy stalugach, z paletą w ręku. Zajmuje się zamięłowaniem malarstwem, na które atoli czasu ma nie wiele, bo parafia duża i z dniem każdym wzrasta...

Ksiądz Szczerba opowiada mi cały przebieg sprawy, znanej już z gazet codziennych czytelnikom „Świata“.

— Zabita jedna kobieta! Rzecz prosta, należy podziękować Bogu, że *tylko* jedna, bo mogło ofiar być więcej.

— Ale rannych niema?

— Kilka kobiet pobitych...

— A mężczyźni nie byli poranieni?

— Nie, bo ich tu prawie niema. Mieszkańcy Iwieńca, to malarze — w lecie wszyscy na robotach.

— A jaki tu jest stosunek ludności katolickiej do prawosławnej?

— Żaden...

— ?

— Bo tu są sami katolicy (prócz żydów). Prawosławnych w Iwieńcu jest paru urzędników najniższych, rodzina parocha i „psałomszczyka“.

— Cerkwie są podobno aż dwie, a kościoła żadnego?

— Zaraz pana tam zaprowadzę.

W istocie idziemy zwiedzać osobliwości miejscowe. Cerkiew, tak jak urządzono ją w kościele po roku 1863-cim, pozostała niezmienioną. Nawet krzyże na 2-ch wieżach takie same. W cerkwi tej odbywa się nabożeństwo przy udziale kilku, a najwyżej 20 — 30 wiernych i to w wyjątkowych okolicznościach. Piękny klasztor po franciszkański, to siedziba proboszcza prawosławnego (który wyjechał w dniu pamiętnym) i służby kościelnej.

Drugą cerkiew stanowią ruiny typowego barokowego kościoła. Nawet figury i ołtarze wewnątrz nie zmienione. Zresztą odprawiono tu tylko raz, czy 2 razy nabożeństwo, aby zaakcentować, że kościół do ka-



Ks. Stan. Szczerba, proboszcz w Iwieńcu, w wolnych chwilach oddaje się malarstwu.

tolików nie należy. Potem kościół zgorzał — nikt go nie naprawiał. Ale murów dawnym właścicielom nie oddano, pomimo, że nie mieli swego kościoła. I dopiero przed paru laty pozwolono parafianinowi, generałowi Kowerskiemu, na budowę własnej kaplicy w kształcie mauzoleum na mogiłkach...

Z kolei przeszliśmy na miejsce wypadku.

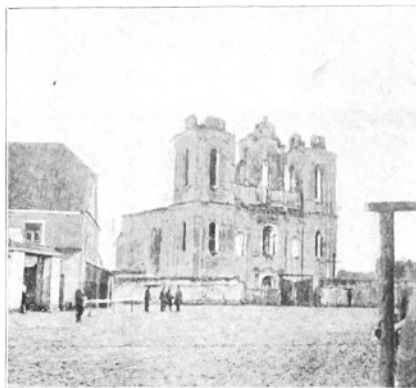
— Tu stał krzyż, poświęcony raz przezemnie — mówił proboszcz, wskazując kupy kamieni w pobliżu cerkwi... — A tu — ciągnął dalej, przeszedłszy o kroków 10—12 — tu postawili mieszczanie powtórnie krzyż. Tutaj też zabito Niedźwiedzką...

— Czy można przypuszczać, że kamienie z tłumu rzucali prowokatorzy?

— Bynajmniej. Kobiety rzucały, skoro je zaczęto bić.

— A kto poszedł okna wybijając duchownym prawosławnym?

— Nikt. To kłamstwo zbyt na-
iwnie, bo wszyscy zeznają inaczej.



Ruiny fary spalonej w r. 1888.
(Zdjęcia amat. ks. S. Szczerby).



Cerkiew (b. kościół) i miejsce (oznaczone krzyżykiem) gdzie był postawiony krzyż.

— Czy nie robiono trudności z pochowaniem Niedźwiedzkiej?

— Z początku tak, ale potem uznano to widocznie za bezcelowe. Upominano tylko, aby nie było „czerwonych chorągwi“.

Ofiara istotnie była pochowana bardzo uroczystie. Złożono parę wieńców, dano najlepsze mieszkanie niewinnej staruszce.

Wracając na kolej, pytałem się woźnicy o ludność miejscową i jej wyznanie.

— Jest katoliki, panoczku, jest i ruskie. Ot, gdyby nie zli ludzie, co burzą, to my by dobrze żyli...

— A wy katolik?

— Nie, panoczku, prawosławny...

Widz.



Zacny rosyjanin.

Sokrates Starynkiewicz mieć będzie pomnik swój w Warszawie. Zasłużył na to istotnie ten wzorowy gospodarz miasta i szlachetny człowiek. Posiada on zresztą swój pomnik już oddawna, od dnia śmierci swojej, i niemniej trwały, aniżeli ten z kamienia, pomnik mianowicie we wdzięcznej pamięci naszej. Cześć ta i pamięć najlepszym zaś jest dowodem, że my dla urzędników rosyjskich, co bez nienawiści nas traktują a niosą wzorową i szczerą służbę dobru ogólnemu, nienawidzi jakiegś wrodożnej, bezzwzględnej, ślepej wcale nie mamy.

Jeżeli Warszawa wygląda dość schludnie i robi wrażenie miasta, nie oddanego na pastwę losu i chorób, jak tyle innych miast naszych, to zasługa właśnie Starynkiewicza. On położył fundamenty pod porządkki miejskie, przeprowadziwszy z ogromnym trudem, staraniem i kłopotem kanalizację miejską. A osądzić, czy to było łatwe, jeżeli uprzytomnimy sobie, że nawet stolice Państwa jeszcze wtedy (a zdaje się iż dotychczas) kanalizacyi nie posiadały. Przekonać ministrów i dyrektorów departamentu, że w Warszawie można tego faworu udzielić—był to *tour de force*. A dopiero po położeniu fundamentów kanalizacyjnych można było pomyśleć o dobrych brukach i trotuarach, o wannach i klozetach w mieszkaniach, o plantacjach, tramwajach i t. p.

Starynkiewicz jako gospodarz miasta?...

Oto jeden obrazek magistracki, który go charakteryzuje: Inżynierka miejska postanowiła kupić za granicą jakąś nadzwyczajną drogę do regulacyi Wisły. Kupiono ją, sprowadzono na Wisłę, kazano jej regulować rzekę. Ale droga ani rusz... Czy była wadliwie zbudowana? czy nie nadawała się do miejscowych warunków? Dość, że trzeba było wyrzucić ją na śmiecie. Wtedy Starynkiewicz zwrócił miejskiej kasie wyłożone na drogę tysiące rubli. A zwrócił je z własnej kieszeni. Był to właśnie cały posag jego córki.

Starynkiewicz jako człowiek?!

Oto autentyczny fakt, opowiadany nam w tych dniach. Pewien urzędnik magistratu, polak, w chwili kłęski jakiegś losowej, zwrócił się do Starynkiewicza o pomoc.



Pomnik jen. Starynkiewicza na stacyi filtrów w Warszawie.

— Miasto nie ma na to funduszów—rzekł prezydent...

A zmartwiony dodał:

— I ja nie mam funduszów własnych, aby panu pomódz...

Ale wzrok jego padł w tej chwili na kominke.

Wstał zaraz, podał proszącemu dwa starożytne lichtarze, pamiątkę stanowiące i rzekł:

— Niech pan to sprzeda, albo zastawi...

Był to mąż czystości ewangelicznej. Pamięć o nim wśród nas nie zginie. *tc.*



Ofiary złożone w Redakcyi.

Na Macierz Polską.

Zebrałe w Samarkandzie: A. Rent rb. 5; Skwarczenko rb. 25; Szytko rb. 3; Kublicki rb. 6; Dobużyńska rb. 1; F. Rent rb. 1; I. Tomaszewicz rb. 1. Razem rb. 42.

Na dar Grunwaldzki dla Macierzy Szkolnej Cieszyńskiej. J. M. Rs. 3.

Pierwsza fotografia następcy tronu hiszpańskiego.



Młodziacy książkę Asturyi na rękach swej opiekunki księżnej del Puerta.

Sprostowania.

W Nr. 28, w felietonie p. t. „U wioślarzy“, zaszła pomyłka, a mianowicie: w biegu 2-gim Kijów — Poznań, przyszła do startu pierwsza osada *Kijowska*, a nie *Poznańska*.

W życiorysie dr. Antoniego Kraszewskiego, wydrukowanym w N-rze 29 „Świata“ wyjaśniono, jakoby zasłużony ów Wielkopolańczyk zmarł w r. 1870 bezdzietnie. Informacja ta oparta była na „Monografii Kraszewskich“, wydanej przed laty przez Kajetana Kraszewskiego. Wymaga ona sprostowania. Ś. p. Antoni Kraszewski pozostawił syna Jana, jedynie brat jego, Piotr, zmarł bezdzietnym. Jan Kraszewski, znakomity agronom, objął był po ojcu dobra Tarkowo i doprowadził je do wysokiej kultury. Pozostawił po sobie syna, inżyniera w Charlottenburgu, oraz dwie córki, z których jedna, p. Aniela, zajmuje się pracą dziennikarską, siostra zaś jej starsza poślubiła syna Kajetana Kraszewskiego, znanego miłośnika starożytności krajowych na Litwie, Bogusława Kraszewskiego.

Al. K.

W N-rze 30, na str. 24, pod fotografią — zamiast mylnie wydrukowanego *Chwalewski* — powinno być *Chwałewik*.

NADESŁANE.

Pijcie piwo „Waldszleschen“

Żądać wszędzie.

(889)

D-r D. BALSZYN

b. Lek. Klin. Uniw. Szp. S. go Lazarsza. Wener. skorne i moczościowe Szkoła 5. (Mar-szałk 140). do 11 r. i od 4-7 w. Panie 3-4.

Tow. Ake.
Browaru

Haberbusch i Schiele

1041

poleca PIWO PILZEŃSKIE

HOTEL CONTINENTAL

w Kijowie.

Zakład Przewozowy

SYRENA

Krak. Przedm. 38

„Przedświt“.

Pod tym poetycznym tytułem zakłada pani Komierowska „Towarzystwo pomocy dla polskich artystów-spiewaków za granicą“. Miejszem skupienia tych śpiewaków jest Medyolan, posiadający, wedle ironicznego wyrażenia miejscowego, „więcej nauczycieli śpiewu, aniżeli okien“. Początki tych śpiewaków naszych bywają zwykle bardzo ciężkie i pani Komierowska sądzi, że to społeczeństwo powinno je ułatwić, a właśnie zakładane towarzystwo ma być tej pomocy instrumentem. Notujemy ten objaw inicjatywy, który niezawodnie na poparcie zasługuje.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. X. X. Pański przekład z Verlaina jest zbyt dowolny. Niepodobna z niego pochwylić choćby najdrobniejszego rysu z charakteru twórczości francuskiego poety.

P. Z. Humoreska jest niezła. Nie możemy jej jednak drukować, z powodu obfitej materyału, jaki posiadamy w tece redakcyjnej.

397
polecą: Najpraktyczniejsze dla naszych stosunków maszyn do pisania „Hammond“ — na jednej maszynie można pisać wszystkimi językami.



Warszawa
Czysta 4.

G. Gerlach.
MAGAZYN
OPTYCZNY

Ś. p. Ks. Wład. Taczanowski,

proboszcz parafii Babice, urodzony w r. 1862, zmarł dn. 19 lipca r. b. w Warszawie. Świecenia kapłańskie otrzymał w r. 1888 po ukończeniu Seminarium Ś-go Jana w Warszawie. W ciągu kilku



lat przerzucał z jednej parafii do drugiej, wreszcie osiadł w Babicach. Na tem stanowisku, pełniąc przez lat 10 wzniosłe zadanie „pasterza dusz”, uszlachetnił powierzony swej pieczy lud, nauczył go żyć podług zasad Chrystusowych. Drugą jego zasługą—to przebudowanie świątyni babickiej, która, dziś całkowicie już wykończona, imponuje jako kościół wiejski, tak rozmiarami, jak i piękną strukturą. Podniosłość ducha, sprawiedliwość w ocenianiu czynów ludzkich i bezwzględne zaparcie się siebie—nie mogły nie zjednać mu serc ludzkich.

Ś. p. Janusz Śliwiński,

urodził się w Kaszewach Dwornych w ziemi Kutnowskiej; w roku 1869 skończył Szkołę Główną jako magister prawa i administracji. Gospodarował potem na roli, ale ciągnęło go miasto. Był w nim „urzędnik”. Zużytkowywał też głównie w dalszym biegu swego życia te zalety, niewątpliwie drugorzędne, ale pożyteczne i nawet u nas dość rzadkie, jak drobiazgowość, porządek wzorowy, formalistykę—tam, gdzie ona jest konieczną. W społeczeństwie, gdzie tyłu

Sensacyjny proces.

... Czy jeszcze jedna omyłka sądowa? W każdym razie roznamietnienie procesem Haucha stało się tak wielkie, że najpoważniejsze pisma niemieckie poświęcają mu artykuły wstępne. Hauch oskarżony jest o podstępne zabicie teściowej. Motywem przypuszczalnym: podniesienie ubezpieczeniowej sumy 75 tys. marek. Ale Hauch, choć młody, lecz dzielny i znany już adwokat w Ameryce, miał klientelę milionerów i zarabiał dużo. Prowadził np. proces Rockfellerów z rządem chińskim i wygrał go. Oskarżony bronił się dzielnie. Jednak jury skazało go na śmierć. Czy słusznie? Zajęcie się powszechne tym procesem dowodzi, że wątpliwości tu nie brak.



Adwokat Hauch.



Olga Molitor.

na wszystkich stanowiskach mamy poetów, realny zmysł Śliwińskiego otwierał mu drogę do kariery. Miał też urzędów sporo; był członkiem dyrekcji Towarzystwa Ubezpieczeń; członkiem dyrekcji „Przezorności”; członkiem Rady Banku handlowego i kolei Wiedeńskiej. Miał też duży wpływ w Towarzystwie Kredytowym Ziemińskim, jako długoletni radca a wreszcie wybrano go na prezesa warsz. Tow. Rolniczego. Użyteczny na każdym stanowisku, służący on może za wzór przezorności i zręczności życiowej, a te cnoty w społeczeństwie naszym naogół nie są doceniane.



Treść № 31 „Świata”

Narcyzowe troski. Jan Lovenowicz.
Św. Teresa. Zygmunt Różycki.
Moment Tylży (r. 1807) w romantyzmie polskim. (Z 3 ilustr.) A. Grzymała-Siedlecki.
Cesarz Wilhelm jako mecenas sztuki i artysta. (Z 7 ilustr.) Sławosz.
Sławny człowiek. Powieść. Włod. Perzyński.
Walka Rami i Ravany. A. Lange.
Z Zakopanego. (Z 2 ilustr.) S.
Roznosiciele mikrobów. t. c.
Moski, Joski i Srule. (Z 5 ilustr.) J. Korczak.
Kultura muzyczna Krakowa. (Z 5 il.) Dr. J. R.
Z literatury. (Z 1 ilustr.) Adolf Nowaczyński i J.
Kilowskie kolonie letnie. (Z 1 ilustr.) S.
Jubileusz filantropii. (Z 1 ilustr.) r.
Felieton Warszawski. Redivivus.
Jubileusz Akademii weterynaryj. (Z 2 il.) J. Łęski.
Zjazd strażacki we Lwowie. (Z 1 ilustr.)
Autonomia Transwaalu. (Z 2 ilustr.) ap.
Z teatrów warszawskich. S. K.
Stow. Kursów dla Analf. Dorosł.
Ze sfer dziennikarskich. (Z 1 ilustr.)
W lwiecu. (Z 4 ilustr.) Wida.
Zacny rosyjanin. (Z 1 ilustr.) w.
„Przedświt”.

ODDZIELNE ILUSTRACJE

Konik polny. A. Chantlon.
Paryżanka. Helten.
Po kapeli. Nikolas Friedrich.
Niobidy. St. Wyspański.
Nasze pomniki.
Z teki rysunkowej.
Jak się stroją obecnie paryżanki.
Budowniczy teatru.
Antoni Lange w więzieniu.
Emigracja artystek.
Zjazd koleżeńskich lekarzy.
Konkurs piękności na Dynasach.
Pierwsza fotografia nast. tronu hiszpańskiego.

Wydawcy: Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Redaktor: Stefan Krzywoszewski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Zybkiewicza Nr 1.

Fabryka Tabaczna

„NOBLESSE”

w Warszawie.

poleca:

Papierosy i Tytonie.

Berlin jedyny hotel polski
pod firmą Hotel Métropole

Pod lipami (Unter den Linden) 20, drogi dom od Pasażu 5 minuty od dworca Fryderykowskiego. Pokoje od 2,50 marek. Oświetlenie elektr. Usługa cicha polska. Właścicielka TOMASZOWA JEDWABSKA.

Kupuję Brylanty
złoto srebro
kwity lombard

HENRYK JUWILER

Nowy-Swiat 59. 1-sze piętro front
Sprzedaje Bizuterję i srebra okazjynie
Kontentuję się małym zyskiem bo
w mieszkaniu. telef. 55.28.

SABINA CHMIELEWSKA

Przełożona 7-klas, zakładu naukowego żeńskiego z klasą przygotowawczą
Krak.-Przedmieście 6,

zawiadamia Rodziców, że zapis uczennic przychodnich i pensjonarek rozpocznie się 25-go Sierpnia. Kurs nauk 5-go Września. Przyjmują się kandydatki do kl. 7-jej.

Perfumerja
J. Wróblewskiej
poprzednio
A. LIPINK
Niecała rog Wierzbowej

Poleca największy wybór nowości perfumeryjnych i kosmetyków. Wyroby z włosów w wielkim wyborze 583

„Postiche bouffant”

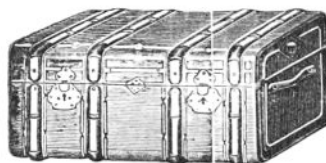
Specjalne salony do farbowania włosów na wszystkie kolory.

Stanisław Krause i S-ka

dawniej T. L. Breymeyer

Fabryka i Magazyn
wszelkich przyborów do
podróży, Konnej jazdy
i Polowania.

Warszawa, Królewska № 1
róg Krakowskiego-Przedmieścia.



Jedyna w kraju fabryka Kufrów trzcinowych.

Znakomity podręcznik P. Bert'a

„KURS ELEM. NAUK PRZYRODNICZYCH”

w przekładzie Anny Kratzer z 48 wyd. franc.

Tom I.—Rok pierwszy, dla dzieci od 7 do 10 lat, 50 kop. Tom II.—Rok drugi, dla dzieci od 10 do 12 lat 65 k. Tom III.—Rok trzeci, dla dzieci od 12 do 15 lat — w druku.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**MASZYNA DO PRANIA
CAŁA PARA
JOHNA
nie ma współzawodnictwa na świecie**

Prospekty na żądanie bezpłatnie
Ak. T-wo J. A. John
Warszawa,
Marszałk. 119.

Zegarki precyzyjne, kontrolery dla
stoż. nocnych, regulatory modern
i z wyłączenia poleca:

firma egzyst. od r. 1873

W. Grabau

Nowy-Swiat № 70 tel. 49-21.
Pracownia przy magazynie.

Pierwszorządne Kaucjonowane

Biuro Nauczycielskie

z pozwoleniem umieszczenia w Rosji

EUGENJI HENNEL

ul. Mazowiecka 11, tel. 434.